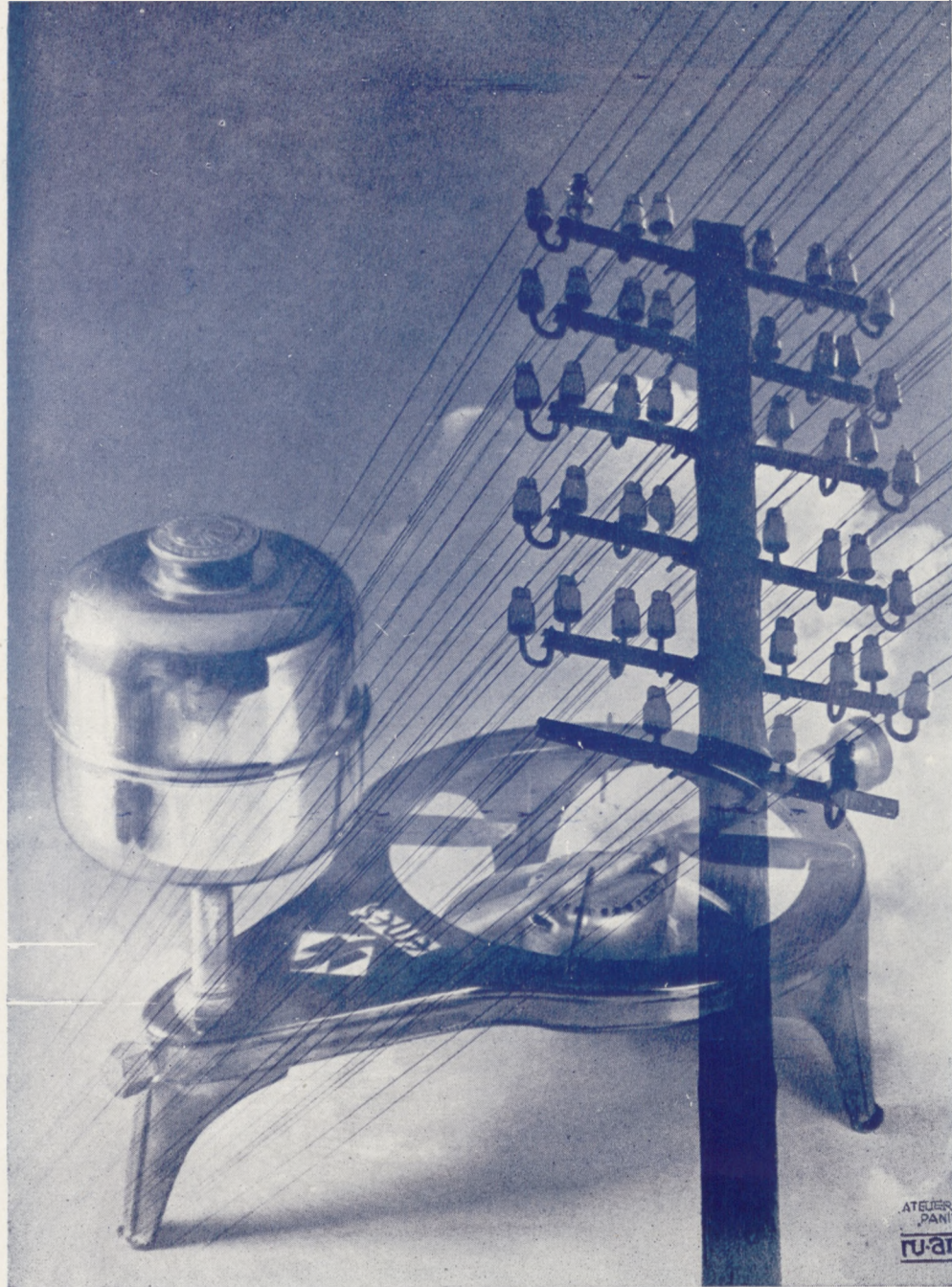


CENA  
150  
NR. 2

# PANNI

PANNI  
PANNI  
PANNI  
PANNI  
PANNI





PANI! Wyjeżdżając na lotnisko nie zapomnij zabrać z sobą kuchenki spirytusowej „E m e s” — nie będziesz musiała alarmować o nią telegraficznie... Kuchenka spirytusowa „E m e s” nieoceniona w gospodarstwie domowym. Bezpieczna, ekonomiczna.

# PULSA RACJONALNA KOSMETYKA

## ŚRODKI DO PIELĘGNOWANIA SKÓRY

### a) Oczyszczające:

Astringent  
Galaretka kosmetyczna  
Mleczko toaletowe

### b) Udelikatniające i wzmacniające:

Cold-cream  
Krem Triolan  
Krem lanolinowy  
Gliceryna zgęszczona  
Gliceryna płynna kosmetyczna  
Olejek do masażu  
Krem do masażu

## NAJWYŻSZA JAKOŚĆ!

## DOSTĘPNE DLA KAŻDEGO!

### c) Wybielające i upiększające:

Krem ogórkowy  
Alkohol ogórkowy  
Krem „LUCY”  
Blansz kamforowy  
Płyn toniczny  
Boraks kosmetyczny

### d) Ochronne:

Krem na plażę  
Krem na dzień  
Krem „LULU”  
Wazelina borna  
Wazelina wonna

### e) Odżywcze:

Krem na noc  
Krem „DELTA”

**PUDRY** w 12 kolorach:

ryżowy, toaletowy, liljowy, tłusty, prasowany, w płynie.

**Róże. Pomadki i ołówki do ust. Ołówki do brwi. Lakier do paznokci.**

**FR. PULS S. A.** WARSZAWA  
WIERZBOWA 11

NA ŻĄDANIE WYSYŁAMY BEZPŁATNIE BROSZURKI I CENNIKI



Los 27 Loterii Państwowej otwiera furtkę szczęściu...

LIPIEC 1933

Nr 2

# PANI

ILUSTROWANY MAGAZYN KOBIECY

pod redakcją

HENRYKA TAŁŁANA



L A T O !

Fot. Metro G. M.

Jean Parker



**Poczynając od numeru niniejszego, dział kosmetyczny naszego magazynu został zoficjalizowany jako organ**

**STOWARZYSZENIA WŁAŚCICIELEK GABINETÓW KOSMETYCZNYCH w POLSCE**

**i będzie się ukazywał pod ogólnym tytułem**

**RACJONALNA KOSMETYKA**

## **Hr. A N N A de N O A I L L E S**

Niedawno zmarła wielka poetka francuska do ostatka swych dni należała do najpopularniejszych postaci Paryża. Wszędzie towarzyszyło jej równie szerokie zaciekawienie opinii mas (niezawsze dyskretne), jak i oficjalne uznanie sfer miarodajnych. W roku 1925 została mianowana oficerem Legji Honorowej, a w 1931 — odznaczona Krzyżem Komandorskim. Była, nawiasem mówiąc, pierwszą we Francji kobietą, zaszczyconą tym najwyższym stopniem Orderu. Zawistne persyflaże efemerycznych grup młodo-poetyckich nie przyćmiewały blasku jej sławy, raczej powodowały wzmożenie powszechnego zaciekawienia i popularności.

Hrabina de Noailles już od chwili urodzenia zdawała się być wybranką losu. Wszystkie dobre wróżki skupiły się nad jej kołyską. Przyszła na świat piękna, bogata w szlachetne dziedzictwo krwi dwóch znakomych rodów (Hr. de Noailles, ur. de Brancovan, była pochodzenia grecko-rumuńskiego). Nie potrzebowała wydeptywać ciernistych, wyboistych ścieżek, wiodących do sławy. Jej droga na Parnas stała się otwartym szerokim gościńcem. Aristokratyczne pochodzenie, wczesne małżeństwo z przedstawicielem Faubourg Saint Germain, hr. Mateuszem de Noailles — otwierało przed nią wszystkie sezamy, dla zwykłych śmiertelników zamknięte.

Talent poetycki młodej kobiety wzrastał i rozkwitał w klimacie cieplarnianym. Nigdy nie była zmuszoną rozmieniać go na dro-

goczek, naginać do trywjalnych wymogów zarobkowych. Piękna, oryginalna, utalentowana, sławna bez wysiłku i zachodów, kochana i podziwiana — zdobyła Paryż bez walki. Była najpiękniejszą ozdobą salonów elity towarzyskiej i intelektualnej. Zachwycił się nią genialny snob i neurastenik Marcel Proust i na niej wzorował postacie arystokratycznych dam swego dzieła.

Piękna, sławna, podziwiana... szczęśliwa!

Nie, głęboko tragiczna. Tragiczna od najwcześniejszych chwil młodości.

Nadmiar bogactw tai w sobie przekleństwo obawy przed ruiną. Urodziwą i utalentowaną wybrankę muz trawił i zżerał lęk przed utratą młodości i urody. Fanatyczną wielbicielkę życia trapiła krok za krokiem myśl okropna o śmierci nieuchronnej, śmierci będącej końcem wszystkiego.

I myśli tych odegnąć nie były w stanie ani miłość, ani powodzenie, ani sława. Wiara odmówiła swej pociechy greczyńce rozkochanej w pięknie form doczesnych.

Tragizm przemijania, bezlitosne fatum nicości, przecinające promienną radość życia — złożyły się na akord strun poetyckiej liry Anny de Noailles. A że była wielką poetką, skarga jej znajduje i znajduje będzie echo w każdym sercu. Nawet w sercach ludzi gorzej przez los wyposażonych, a przez to nietrwałością własną mniej zasmuconych.

J. K.

Hr. Anna de Noailles

## Śmierć do człowieka mówi...

*Otoś się już dosyć, biedny człeku, nacierpiał,  
Dosyć zaznał miłości, żądz, rozczarowania  
I bezruchu w jarzmie, goryczy woli cierpkiej  
I dumy żeś jest żyw, żeś się w płaczu nie staniał.*

*Nie tobie wiedzieć, co jest miłsze, bardziej ładne  
Od słodyczy tych dni, któreś miał w dzierzawie.  
Porzuć czas i rzuć dom, porzuć stół biesiadny  
Nie zaznasz lęku ni żalu, żeś tu bawił.*

*Ja ci w serce i w ręce, ja ci w usta wleję  
Spokojność tak ciężką, gorącą, głęboką,  
Ze ni słońce, ni deszcze, ani burz zawieje  
Nie zbudzą twej duszy, ni krwi twojej soków.*

*Biedny człeku, jak wtedy nimeś się narodził  
Będziesz pełen cienia, niepamięci błogiej.  
Inni wtedy pójdą ku twardych dni powodzi  
Płacząc w dłonie i w łoża i w mogiły drogie.*

*Już inni pójdą w wirów bolesnych uwięzi,  
Głęboko kochać będą, z gorzką walczyć dolą,  
A ty mleczem będziesz w liściu czy w gałęzi,  
Ty różą na krzaku będziesz, morza solą.*

*Inni pójdą smagani przez żądzę, marzenie  
I napetnią powietrze jękiem, męką własną,  
Lecz ty nie będziesz wiedział, co dnia przebudzenie,  
Ze trzeba żyć nanowo, że jest dzień, że jasno.*

*Pójdą, krzepiąc dusze, które ból kołysze,  
Jak winem pijani będą staniać się w pochodzie.  
— A ty już wtedy będziesz w wiecznej nocy ciszy,  
W mym spokojnym domu, w boskim mym ogrodzie...*

## O MIŁOŚCI CYPRJANA K. NORWIDA

Niewiele wiemy o tym genialnym poecie-myślicielu. Ba, doniedawna nie wiedzieliśmy o nim prawie nic. Przypadkowo, dzięki Miriamowi Przesmyckiemu, wydobyty z mroku zapomnienia, w jakim trwał przez lata całe, znany jedynie nielicznym entuzjastom i fachowcom—historykom literatury, dla ogółu długo jeszcze pozostanie daleki i obcy. W świadomości przeciętnego inteligenta ze średnim, a nawet i wyższym wykształceniem, istnieje Norwid, jako pisarz równie głęboki, jak i ciemny, — trudny i niedostępny. Utrzymuje się naskutek tego legenda o czymś, jak szczyt górski zawrotnym, — nie do osiągnięcia, zimnym i nieprzystępnym. Wie się o nim ledwie coś niecoś. Że był zapoznany, bo zawiły i mroczny. Że napisał niezrozumiałego dla zwykłego czytelnika „Promethidion”. Że to jest zupełnie jak talmud, bardzo mądre, ale nie dla wszystkich. Że był dziwakiem w życiu — i dlatego miał życie trudne. Że zmuszony był z nędzy pracować jako drwal gdzieś pod Paryżem, — i że umarł w przytułku. Często dodaje się, że był czwartym z wielkich romantyków. Oczywista nedorzecznosc. Ot, i prawie wszystko. Cała wiedza narodowa o wielkim narodowym geniuszu.

Zainteresowanie obecne tym naszym „sfinksiem z urojenia“ pozwala wróżyć, że w najbliższej przyszłości młodzi uczeni, historycy literatury i kultury, zajmą się bliżej osobą i dziełami twórcy, który nadto wychylił się w przyszłość, aby zostać pojętym i przyjętym przez współczesne, a nawet najbliższe następne pokolenia. Narazie rozporządzamy ledwie okruchami wiedzy o życiu Cyprjana Kamila Norwida. Niezebrane, istotnie są niedostępne i mało znane te tak bardzo ludzkie i zarazem tak bardzo smutne szczegóły żywota wielkiego poety.

Historja zna epoki, które możnaby określić jako poetyczne i tej poetyczności obce. Zainteresowanie poezją to rośnie, to maleje, — a co za tem idzie rośnie i maleje jej rola i znaczenie w życiu. Nie myślę zgłębiać tu przyczyn, dla których — według mego mniemania — niepoetyczna „epos nasza“... Fakt jednak, że życie poetów nie przestaje nigdy wzbudzać zainteresowania. To życie, dziwne nieraz i niepojęte, ciężkie i trudne najczęściej dla nich samych, a pełne tajemniczego uroku dla innych. Zwłaszcza miłość u poetów, która w powszechnej opinii, — z winy samych poetów zresztą, uchodzi za najpotęż-

niejszy motor ich twórczości, — pada przede wszystkim ofiarą powszechnego wścibstwa. Nie ukryje się prawie nic. Wiemy, kto z kim — i kiedy. Dla kogo napisał poeta to, przez kogo tamto. Mickiewiczowska Maryla stała się niemal symbolem tego symplicystycznego pojmowania źródeł twórczości. Poczóż zatem Norwid ma jeden pozostać nieknięty i sam tylko trwać w wyobraźni powszechnej jako złom granitowy, — nie człowiek, a posąg. Uchylmy nieśmiało rąbka historii, aby zobaczyć ludzkie oblicze „ciemnego“ mistrza.

Jesienią 1842 roku, młody, bo zaledwie 21-letni poeta opuszcza kraj ojczysty, nie wiedząc jeszcze o tem, że opuszcza go nazawsze. Narazie udaje się na studia plastyczne do Niemiec, a stamtąd do Włoch, do Florencji, gdzie kształcił się w malarstwie i rzeźbie. (Norwid, o czem też nie wszyscy wiedzą, był również utalentowanym malarzem, — i z malarstwa się przede wszystkim utrzymywał). Tam, we Włoszech zapewne, spędzając czas na studjach i licznych wycieczkach do Rzymu, Neapolu, Wenecji, Pompeji, poznał młody poeta córkę rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, panią Marię Kalergis, z domu Nesselrode. Pani Kalergis, równie młoda, jak poeta, bo ledwie dwudziestoletnia cudownej niemal urody kobieta zrobiła tak olśniewające wrażenie na Norwidzie, że zakochał się w niej, jak się mówi, na śmierć i życie. Niestety, jak to się niemal z reguły przydarza młodym poetom, — bez wzajemności. Córka rosyjskiego ministra nie zwróciła specjalnej uwagi na nieznanego polskiego artystę. Sama, z matki Polki, chętnie podkreślała swoją przynależność do tej narodowości. Podówczas rozwiedziona już ze swym mężem, bogatym Grekiem, otrzymawszy od niego 2 miliony rubli, prowadziła życie bardzo szerokie, wojażując po całej Europie. Będąc istotnie wyjątkowo piękną, ponoć ówczesnie największą piękną europejską, znajdowała wszędzie, pośród najwybitniejszych, gorących wielbicieli. Wojaże jej podobne były pochodom triumfalnym, zwłaszcza, że orszak uświetniały postacie takie, jak: Heine, Liszt, Musset, Gauthier, — nie wyłączając głów koronowanych, jak cesarz Napoleon III. Nietrudno zrozumieć, że w takich warunkach Norwid nie mógł mieć wielkich szans powodzenia ze swoją młodzieńczą miłością. Musiał jednak gorąco być zakochany, jeżeli, prawdopodobnie z powodu



tej pani, opuścił Włochy i wśląd za nią podążył zpowrotem do Niemiec. Tymczasem sprawa się nieco skomplikowała. W podróży pani Marji Kalergis towarzyszyła jej przyjaciółka, panna Marja Trembicka, córka polskiego generała, kobieta, zdaje się, o głębszych walorach umysłu i charakteru. Kiedy więc poeta beznadziejnie durzy się we wspinałej ministrównie, w sercu jej towarzyski budzić się zaczynają żywe uczucia dla Norwida. Oczywiście jest to druga bezwzajemna miłość w tej konstelacji. Norwid zajęty panią Kalergis nie jest w stanie odplącić się równym uczuciem pannie Trembickiej. Nawiązuje się jednak między nią a poetą stosunek bardzo mocnej i głębokiej przyjaźni, który utrzymał się aż do roku 1857, to jest do czasu, kiedy Marja Trembicka poślubi Felcjana Faleńskiego.

W międzyczasie następują wypadki innej natury. Norwid w czerwcu 1846 roku zostaje aresztowany w Berlinie. Po miesięcznym pobycie w więzieniu opuszcza Niemcy, wyjeżdża do Brukseli, a stamtąd do Rzymu. Rozmaite inne sprawy, których nie zamierzam tu opisywać, pochłaniają go zapewne tak dalece, że pośród nich gorące uczucie żywione dla Pani Kalergis zdaje się gasnąć powoli i unicestwiać. Rośnie natomiast przyjaźń artysty dla Trembickiej, z którą utrzymuje stałą korespondencję, zwracając się jej ze swych najistotniejszych, najgłębszych przeżyć. Oto szala uczuciowa poety przechyla się coraz bardziej zdecydowanie, — i na jesieni roku 1852 z Paryża zwraca się Norwid listownie do Marji Trembickiej z prośbą o jej rękę. Tu spotyka go cios, który wyda nam się zupełnie niespodziewany. Poeta otrzymuje odpowiedź odmowną. Sytuacja odwróciła się więc o pełne 360 stopni. Norwid, pisząc do ukochanej kobiety, śnać przewidywał taką możliwość, prosząc

aby milczenie i ogień strawiły ów list w razie nieprzychylnych dlań decyzji, mógł być to jednak tylko zwrot stylistyczny, rzadki u Norwida — frazes. W każdym razie cios był zbyt wielki. Teraz dopiero uświadamia sobie poeta w pełni ogrom swej samotności. W chwili rozpacz dźwiga ten ciężar i unosi go z sobą uchodząc na pokładzie żaglowca do Ameryki na dalszą samotną tułaczkę. W Londynie, w grudniu 1852 r. pisze bezpośrednio po owej fatalnej odmowie głęboko smutny wiersz: „Z pokładu Marguerity — wypływającej dziś do New Jork“, ustępując „na mil sześć tysięcy“, jak to później powiada w innym wierszu p. t. „Trzy strofki“. Oba te utwory nacechowane przejmującym liryzmem, to bezpośrednia reakcja bólu człowieka wielkiego, zawiedzionego w nadziei, że znajdzie kogoś na globie, kto ulżyłby mu w stałym opuszczeniu. „Trzy strofki“ napisane bodaj w Ameryce kończy sakramentalne: „bywaj zdrowa“...

Pamięć tych miłości, tamtej młodzieńczej o podkładzie zmysłowym, żywiołowej i ponoszącej, — i tej dojrzałej, pogłębionej wieloletnią przyjaźnią i wzajemnym, jak się wydawało zrozumieniem, na długo go nie opuści.

W drodze powrotnej z Ameryki napisze jeszcze jeden z najpiękniejszych swych wierszy, — maleńki poemacik „Polka“, w którym zestawi obok siebie obie kochane kobiety. Tę, po której dopiero pierwszeństwo piękna przyzna przyrodzie obok drugiej „podobnej psalmów księdze i Wiktorji bosej z laurem w dłoni, co wśród obłoków bystro bywa lecąca“. Nie będzie mógł zapomnieć. Nieraz jeszcze ta sprawa jego życia znajdzie echo w dalszej twórczości geniusza. Jednak już do końca pozostanie sam.

Stanisław R. Dobrowolski



INSTYTUT KOSMETYCZNO - LEKARSKI

IZIS

W W A R S Z A W I E

Centrala: ŻABIA 4 (gmach ordynacji Hr. Zamojskich). Tel. 761-53

Oddział: MARSZAŁKOWSKA Nr. 94. Tel. 9.98-68

pod kierownictwem lekarza-dermatologa i przy współpracy lekarzy-specjalistów: internisty, ginekologa, chirurga, okulisty i t. d.

Porady we wszystkich sprawach kosmetyki leczniczej. Indywidualne wskazówki co do używania odpowiednich dla danej cery pudrów, kremów, szminek i t. p.

KIEROWNICZKA DZIAŁU KOSMETYCZNEGO HELENA BRZEZIŃSKA



# LATO i MODA

Kobiecość, kobiecość i jeszcze raz kobiecość. Hic mulier — kobieta drągał, mocno rozkraczona na szerokich stopach, obutych w olbrzymie płaskie stępy, ostrzyżona po męsku pod nasuniętą po zbójceku na oczy myką — jest już niemodna. Skończyła się. Jeszcze w zimie. Ostatnie po niej wspomnienia splukały wiosenne deszcze.

Lato, słoneczne lato, przynosi nam w darze kobietę — kwiat, kobietę — poemat. A raczej taką, do której można pisać poematy, w których tak bardzo zbanalizowane porównanie do kwiatu wyda się rewelacyjną nowością.

Modna letnia piękność z roku 1933 raczy łaskawie stąpać po ziemi drobną stópką, obutą w misterny pantofelek na obcasie-

szczudełku, tak wysokim i cienkim, iż zdziwiony śmiertelnik traci sen i apetyt, rozmyślając nad tem, że takie strzeliste cudo może dźwigać wagę istoty dorosłej i nie złamać się, ani nie wykoszlawić. Niejeden niewierny Tomasz nie dopuszcza do tępej swej mózgownicy tej prawdy oczywistej, że wyznawczyni Mody nie podlegają ordynarnym prawom przyrody, tylko o wiele wymyślniejszym i bardziej skomplikowanym rozkazom.

Modna pani nosi główkę kunsztownie utrefioną w loki przydługie, magiczną sztuką trwałe ondulacji utrwalone. Czasem loki opasuje wstążka, z czoła do tyłu je garnąc i upodobniając twarzyczkę pani do portretów Greuze'a, pani Vigée Lebrun i innych maj-

strów pendzla z wieku XVIII. Tak utrefiona główka wykwiła z obłoku falban i riusz jasnej organdy, tiulu w muszki, lub lśniącego jak szkło lakierowanego szyfonu. Obcisły stanik podkreśla obowiązującą (wciąż jeszcze obowiązującą) smukłość talji. Wdole suknia rozszerza się jak dzwon, jak kwiatny kielich, jak... czemuż tego ostatecznie nie powiedzieć: — jak krynolina. Laura, czekająca niecierpliwie, by „miesiąc zaszedł, psy się uspiły“, a ona mogła biec pod umówiony jawor na schadzkę z Filonem?... Aniela z „Ślubów“?... Cesarzowa Eugenia z portretu Winterhaltera?...

Wszystkiego potrosze. Tu nie chodzi o czyistość stylu. Artysta-rysownik i modny krawiec w kreacjach swych dali wyraz tęsknotom kobiet, kobiet pracujących i sportujących na równych z mężczyznami prawach — za kobiecością muślinową i załęknią, bezbronną a dostojną, irracjonalną i uroczą jak...wszystko bezpowrotnie minione.

### Dzień powszedni

To wszystko, o czym była mowa powyżej, owe krynoliny i organdy, to oczywiście, nie na codzień. To bal, to wytworne garden-party w modnym uzdrowisku lub u zamężnych przyjaciół, posiadających willę z ogrodem. Moda dnia powszedniego jest rozładna i praktyczna. Romantycznym tęsknotom folguje jedynie w fantazyjnym związku szalika, zalotnym loczku, wysuniętym z pod opuszczonego intrygująco rondo, w... Jego monogramie wyszytym na plastronie bluzki.

A pozatem... A pozatem praktyczne komplety z prążkowanych wełen i grubych, naśladowanych wełny — jedwabiów. Spódniczka tworząca klosz ledwie dostrzegalny, marynarka paskiem skórzanym ściągnięta. Bluzka z jedwabiu do prania, biała lub kremowa, niezmiennie elegancka. Albo ciemna, znacznie ciemniejsza, niż cały komplet. Przy spódniczce beżowej — brunatna, granatowa — przy komplecie popielatym. Te ciemne bluzki przy jasnych całościach to właśnie ostatnia nowość, haute nouveauté, dernier cri, up to date etc.... Ale i poczciwy szydełkowy pullover nie wychodzi z mody. Bywa robiony z włóczki, jedwabnego kordonku i z nitki lnia nej. Najmodniejszy w tej ostatniej wersji.

Najcharakterystyczniejszą cechą modnych kompletów spacerowych stanowią rękawy. Właściwie nawet nie rękawy, a ramiona. Letnia moda r. 1933 otacza ramiona szczególną pieczołowitością, robi z nich najważniejszy punkt sylwetki. Wszystkie wysiłki zdą-

żają ku zaakcentowaniu ramion, poszerzeniu ich, sprowadzeniu do owego imponującego kwadratu, jaki zapomocą krawca i waty osiągnęli już od szeregu lat nasi bracia i mężowie. Ostatnio i nasze krawcowe zaczęły się uciekać do waty, nawet przy kompletach z wzorzystych meteorów i, tak bardzo modnych, lakierowanych satins. Ale i niezależnie od dyskretnych podwatowań stawia się na ramionach całkiem otwarte nadbudówki, kanciaste przyszwyy, demonstracyjne zakładki itp.

### Na plaży

Pyjama, od szeregu sezonów — mundur plażowy, cokolwiek się już opatrzyła. Obecnie groźną jej konkurentką jest — suknia plażowa. Suknia z jedwabiu lub piki, mająca wszelkie pozory sportowo-spacerowe, tylko dekolt... balowy. Bo chodzi przecież o opalenie się możliwie głębokie i dokładne. Suknia plażowa ma tę wielką zaletę, że byle pelerynka czy żakiecik transformują ją na poprawny komplet spacerowy. Olbrzymie, kłapouche kapelusze z rafji też się już mocno opatrzyły. Warszawskie elegantki przyjęły entuzjastycznie krajowy model plażowego kapelusika, kreowany przez utalentowanego malarza, E. Kanarka. (Brawo! Europeizujemy się. Nareszcie i Warszawa zaczyna zabierać głos w sprawach mody!) Kapelusiki te kształtem przypominają trochę hełmy wojsk amerykańskich, trochę kapelusiki pasterek z obrazów Watteau. Są one bardzo „twarzowe“ i mimo niewielkich rozmiarów skutecznie chronią oczy przed rżącym blaskiem odbitego w wodzie słońca.

### Trochę ekscentryczności

Moda nie byłaby rodzaju żeńskiego, gdyby nie miała w sobie odrobiny psotnej przekory. Coś zawsze musi zrobić naodwrot. Więc i tego lata każe nam nosić wieczorowe sorties z białej, bawełnianej piki. Tej najgrubszej, używanej na męskie frakowe kamizelki. Na lekkie okrycia do wzorzystych popołudniowych sukienek poleca pikę czarną. A do tenisa, zwanego dotąd sportem białym — spodenki z wzorzystego fularu.

Albo rękawiczki i kapelusze z materiału w biało-czerwone pasy szerokości grubego palca.

Na szczęście żyjemy w czasach biernych oporów i rewolucyj. I nawet tak despotyczna władczyni jak Moda musi być przygotowaną na to, że poddani mogą raz i drugi jej nie usłuchać...



Mary Carlisle

Fot. Metro G. M.

**Najnowszy krzyk mody na plażach amerykańskich – gumowy kostjum kąpielowy**

Jean Parker

Fot. Metro G. M.

**Damska wersja męskiej białej kamizelki frakowej z piki. Poszerzone kłapy u kamizelki i rękawy z bufkami powyżej łokci. Suknia z czarnego crêpe-satin z białymi szelkami na ramiona i białym pasem w talji**

# LATO



1933



Mary Carlisle

Fot. Metro G. M.

**Komplet nad morze, do uzdrowisk, na letniska. Suknia biała, imitująca w górnej połowie kostjum kąpielowy. Żakiet i pasek z identycznego materiału w kolorach białym i zielonym. Kapelusz zielony**

Adrienne Ames

Fot. Paramount

**Przepiękna suknia z czarnej tafty i białego szyfonu. Wspaniałe rękawy stylizowane na modelach 1880 r. Kapelusik również z czarnej tafty**

# KOBIETA W SPODNIACH

Opatrując szkic niniejszy tytułem „Kobieta w spodniach“, nie miałam na myśli ani ogółu kobiet noszących spodnie, ani jakichś symbolicznych, abstrakcyjnych spodni, tylko jedną, zupełnie konkretną kobietę która bardzo często nosiła zdecydowanie konkretne spodnie.

Była nią, ogromnie swego czasu sławna, dziś niesłusznie zapomniana, zawsze w Polsce niedoceniana powieściopisarka francuska — George Sand.

W życiu prywatnym pani George Sand nazywała się Aurora, Aurora Dupin. Spodnie zaczęła nosić bardzo wcześnie. Przywdziała je poraz pierwszy licząc lat cztery. Było to w Madrycie. Ojciec Aurory, rotmistrz Maurycy Dupin był wtedy adjutantem cesarskiego szwagra księcia Murata. Matka Aurory była zazdrosna o męża (to się zdarza nawet matkom przyszłych znakomitości). Uważała, że kampanja hiszpańska trwa za długo, słyszała, że hiszpanki są wielce urodziwe i mocno ogniste... Zdenerwowała się i kropnęła rozstawnymi końmi z Paryża do Madrytu. Córeczkę zabrała z sobą.

Książę Murat wcale nie był zachwycony obecnością kobiety z dzieckiem na terenie działań wojennych. Aby go udobruchać, pani Dupin sprawiła córeczce amarantowe hajdawerki i pełny mundur huzarski, minjaturową kopję ojcowskiego.

Naturalnie nie można się było nie roześmiać się na widok tak srogiego, czteroletniego wiarusa, a nic tak nie rozbrawa, jak śmiech. Tak tedy w najmłodszym wieku Aurora miała okazję do włożenia spodni i zapoznania się z nimi od najlepszej strony.

Chętnie nosiła je i potem, jako dorastająca panna, sierota wychowywana przez zniechęconą babkę i ojcowskiego jeszcze nauczyciela, nieznośnego dziwaka, jak większość starych kawalerów.

Otóż, w towarzystwie owego, zgryźliwego, lecz szczerze do niej przywiązanego starego pana — szesnastoletnia Aurora jeździła konno i polowała w spodniach. Twierdziła, że jej tak wygodniej. Rzeczywiście, moda z roku 1820, moda sukienek długich do kostek i bardzo wąskich, niekoniecznie nadawała się do skakania przez rowy i brodzenia po bagnistych łąkach. Temniemniej jednak owe

wygodne i celowe spodnie kosztowały panę zupełną utratę opinii w sąsiedztwie i powiatowym miasteczku.

Jeszcze potem, kiedy już jako dwudziestosiedmioletnia mężatka Aurora ważyła się na krok szalony — zerwania ze swym małżonkiem, wiejskim szlagonem, nader przeciętnym egzemplarzem człowieka poczciwego i przybyła do Paryża, aby tam zacząć nowe życie o własnych siłach — znowu przywdziała spodnie. Tym razem długie, szare spodnie i takiż surdut, upodabniający wiejską dziedziczkę do studenta — pierwszorzocznika. Nie powodowało nią jedynie zamiłowanie do męskiego stroju. Ówczesne damy ze świata i półświata, strojne w długie, sute falbany — jeździły własnymi powozami. Młodej emancypantki nie stać było na powóz, nawet wynajęty. Powłóczyste falbany smętnie wyglądały ubabrane w ulicznym błocie (w Paryżu wtedy, tak samo jak i teraz, trzy czwarte roku padał deszcz). Prunelowe ciżemki wykoszlawiały się żałośnie na śliskim bruku. Aksamitne toczki ze strusimi piórami — zmoczone wołały o pomstę do nieba.

Cóż było począć? Wcale nie wychodzić z domu? A nie poto się przecie przyjechało do Paryża. Albo wymyślić jakiś strój praktyczny do swobodnego cyrkulowania po stolicy świata. No i wymyśliła — ubiór męski.

W studenckim przebraniu, w wygodnych, męskich bucikach na grubych podeszwach można było bez zmęczenia przebiegać miasto od krańca do krańca. Można było wchodzić wszędzie: do parlamentu i do literackich kawiarni, i na tanie miejsca do teatrów i teatrzyków.

Młoda pani popełniła niewątpliwie błąd taktyczny, nie wkładając spodni owego pamietnego poranka, kiedy z bijącym sercem udała się po protekcję i radę do wielce znakomitego (wówczas) powieściopisarza pana de Kératry (nazwisko dziś absolutnie nieznane).

Wizyta wypadła zewszeczmiar niefortunnie. Sędziwy mistrz przyjął początkującą autorkę w swym prywatnym apartamencie. Na łóżku, pod różową atłasową kołderką, leżało różowe kobieciątko.

— Czy pańska córeczka jest niezdrowa? — zapytała zgłupia frant Aurora. Stary lew spiorunował ją spojrzeniem.

— Moja żona czuje się doskonale.

Po takim wstępie sprawy potoczyły się jak po grudzie. Wielki człowiek zasiadł na szczycie Olimpu, otoczył się chmurą pogardy i ledwie raczył przez nią dojrzeć zziębniętą petentkę, suszącą z rezygnacją przy kominku przemoczone pantofelki.

Mmmmm, taak!... pani chciałaby pisać? Hm... chęć nie wystarcza... Mmmmm... Taak... Nie chciałbym pańi zniechęcać, ale cóż?...!!! osobiście uważam, że kobiety są zasadniczo pozbawione wszelkich możliwości twórczych.\*) Mmmmm... tak... twórczość jest cechą specyficzną umysłów męskich. Proszę mi wierzyć, droga pani, postąpi pani właściwiej produkując dzieci niż pisząc książki.

Wielki człowiek był tak zabawny, że Aurora nawet się nie zirytowała. Poradziła mu bez gniewu, aby sam się zastosował do własnej, mądrej rady, o ile to jeszcze potrafi — i wyszła. Może cokolwiek zamocno stuknęła drzwiami.

Zresztą skorzystała z nauki i zadebiutowała w spodniach, pod pseudonimem Jules Sand. Właściwie nie był to nawet pseudonim, tylko skrócone nazwisko Juljusza Sandeau, współautora pierwszej jej powieści i, co tu ukrywać — kochanka.

Pierwsza wspólna powieść, dziecko miłości, wypadła raczej słabo, wbrew popularnej teorii o urodzie dzieci miłości. Dopiero druga powieść, napisana na wsi przez samą Aurorę, przyniosła jej sławę. Była to „Indjana“ — pierwszy utwór samodzielny i podpisany już George Sand, bo Juleczek nie chciał dać swego nazwiska na książkę, do której nie przyłożył ręki, a wydawca nie zgadzał się na wydanie dzieła autora w spodnicy. „Indjana“ zdobyła rozgłos nadspodziewany, krytyka rozwodziła się nad istic męskim talentem autora, dopatrując się tu i ówdzie kobiecej subtelności wyczucia. Wreszcie udało się prasie i czytelnikom wytropić autorkę i młoda dziedziczka z Berry, spacerująca po Paryżu w studenckich spodniach, stała się jedną z najpopularniejszych osobistości stolicy. Wydawcy sami zgłaszali się po rękopisy, redakcje zabiegały o współpracę.

Przyszła wielka sława i narazie bardzo niewielkie — pieniądze. A równocześnie

\*) vide „Wiadomości Literackie” N. 21. „Zalew Kobiecości” Morastina. Zaiste historia się powtarza.

wzięło w łeb szczęście osobiste. Pewnego razu Aurora przyjechała ze wsi niespodzianie. Chciała zrobić kochankowi niespodziankę i... zastała romantycznego Romea w prozaicznych objęciach praczki. Takiej pierwszej lepszej, przygodnej praczki, która właśnie odniosła mu bieliznę. Nawet nie żadnej uroczej i dowcipnej Madame sans Gène.

Wielka miłość dostała boleśnie w pysk i skonała z oburzenia. George Sand wyleczona z młodzieńczych złudzeń i wiary w wieczną miłość, stała się demoniczną i bajroniczną. Nie bez pozy. Palila fajkę, pisała Lelję, powieść o kobiecie rozczarowanej, i usiłowała traktować miłość po męsku, odniechcenia, przez nogę.

W tym okresie sławy i zblazowania złośliwy los postawił na drodze autorki, najbardziej chyba uroczonego człowieka dziewiętnastego stulecia — Alfreda de Musset. Gdyby poeta ten żył w naszych czasach, byłby niewątpliwie królem na wszystkich konkursach fotogeniczności i sex appealu. Posiadał młodość, urodę, wyjątkowy wdzięk i niepospolity talent. Był smukły, złotowłosy, błękitnooki. Pieszczotliwy jak dziecko, psotny jak paż. Pisał cudne wiersze.

Wymarzony kochanek.

A zarazem najnieznośniejszy kochanek, jakim niebo może pokarać zakochaną kobietę. Kapryśny i nieobliczalny. Histeryczny jak primadonna. Wystarczyło mu posiąść upragnioną, wyblaganą kochankę, żeby natychmiast do niej zgłaszać szereg rozżalonych pretensyj. O wszystko. A przedewszystkiem o to, że bogdanka nie jest w rzeczywistości taką, jaką ją sobie wyśnił w poetyckim marzeniu.

George Sand i Alfred de Musset kochali się szalenie i byli z sobą bardzo nieszczęśliwi, omal, że od pierwszego tygodnia ich miłości. Niemogąc się zdecydować na rozstanie, postanowili zmienić otoczenie i klimat, wierzyli, że młte romantykowi włoskie niebo zdoła uleczyć ich chorą miłość. W tym dziwnym romansie mężczyzną była kobieta. Ona troszczyła się o finansową stronę eskapady, ona przekonała starą panią de Musset, żeby pozwoliła na wyjazd syna, obiecując opiekować się w podróży niepraktycznym poetą.

Romantyczna wycieczka, mająca zarazem być ucieczką od rzeczywistości, przyniosła kochankom same rozczarowania. Bo rzeczywistość jest zazdrosna i mści się na tych, co nie chcą podlegać jej prawom. Dotkliwie przypomniała o sobie, witając spragnionych włoskiego słońca ostrym chłodem w Genui.

Zaraz, na wstępie do włoskiego raju dała się kochankom we znaki malarja i co gorsze... dyzenterja. Czy można sobie wyobrazić fatalniejszy dysonans na początku miłosnej idylli.

— Mam serce równie ubabrane jak żołądek, — skarżyła się George Sand w liście do jednego z paryskich przyjaciół.

Poeta był szczerze oburzony na kochankę. Z iście kobiecą, a może prosto męską, logiką uważał ją za przyczynę wszystkich podróżnych niepowodzeń i rozczarowań. Tembardziej, że nie było jej do twarzy ze zmęczeniem i chorobą. A kobieta, która brzydko wygląda, nigdy nie ma racji.

W styczniu roku 1833 przybyli mocno już poróżnieni kochankowie do Wenecji, gdzie miała się rozegrać najdziwniejsza tragicomedia w trzech osobach.

Dookoła tej historii powstała we Francji cała literatura, lecz w Polsce jest ona stosunkowo mało znana. Sprawa miała się mniej więcej tak: Musset był coraz bardziej rozkapryszony i coraz nieznośniejszy: pił, uciekał na dziewczynki, zgrywał się w karty. George Sand płaciła jego honorowe długi. Wyczerpana przebytą chorobą, musiała pisać całymi nocami, aby uzyskać od paryskich wydawców nowe zaliczki. Ta systematyczność pracy ogromnie denerwowała poetę.

— Piszesz jak stary notariusz!

Wreszcie oznajmił jej, że jej już nie kocha, że kiedy jej przysięgał miłość prosto się mylił. I zaraz potem rozchorował się na tyfus. George Sand pozostała przy nim w charakterze opiekunki i siostry miłosierdzia.

Ale rzecz się działa w Wenecji, Wenecji miemie kochanków, pełnem wspomnień o romantycznych przygodach lorda Byrona. Aurora była literatką, lubiła pisać dok imentalnie. Pisząc o miłości chciała znać miłość, a pisząc o miłości we Włoszech, zapragnęła poznać miłość włoską. Nie zapominajmy, że nosiła spodnie i że sądziła, iż wolno jej wszystko, co wolno mężczyźnie.

A Musseta leczył młody i bardzo podobno urodziwy weneccjanin doktor Pietro Pagello.

Kiedy poeta, po całych tygodniach maliginy, zaczął odzyskiwać przytomność, czule dziękował kochance i przyjacielowi, że go pielęgnowali tak wiernie i tkliwie. A kochanka i przyjaciel mieli miny mocno niewyraźne. Chciał pocałować Aurorę — usunęła się. Pagello patrzył.

Sytuacja była niedozniesienia. Alfred musiał dowiedzieć się prawdy. Zniósł ją zdumiewająco szlachetnie.

— No tak. Ja byłem łajdak, zaniedbywałem tę uroczą istotę. Wy jesteście anioły. Mogliście przecież dać mi zdechnąć, a zawdzięczam wam życie. Bądźcie szczęśliwi.

Pobłogosławił ich i wyjechał, roniąc łzy wzruszenia i miłości; bo teraz, kiedy kochana była w posiadaniu innego, wiedział napewno, że kocha ją nad życie.

Rozdzieleni przez góry i morza, ona z Wenecji, on z Paryża — pisywali do siebie długie listy. Listy przedziwne. Okazało się, że kochają się jak nigdy. Kochają się mimo jej zdrady, a może właśnie naskutek tej zdrady, jeszcze mocniej, jeszcze boleśniej. Nie wiedzieli jak sobie z tem poradzić, jak wybrnąć z tego uczuciowego bigosu. Bo przecież był „ten trzeci“, rośli, barczysty, miedzianowłosy weneccjanin, coraz bardziej zdziwiony ekscentrycznym zachowaniem signory Sand, co to sama rzuciła się w jego objęcia, a teraz łzy gorzkie roni nad każdym listem tamtego.

Literatka tłumaczy mu, że powinni kochać się we troje, że to dopiero będzie godne natur wyższych. Pod jej dyktandem doktor nawet dopisuje się do listów. Nie buntował się, dopóki wszystko to odbywało się listownie. Ale kiedy mu kazano jechać do Paryża i tam kochać swego poprzednika, wściekł się, szpetnie zaklął po włosku i uciekł. A poprzednik został następcą.

Znowu kochali się szalenie i byli jeszcze bardziej nieszczęśliwi. Bo Aurora przeliczyła się, nie przewidziała, że mężczyzna nie może przebaczyć kobiecie grzechów męskich, tych samych, których u płci własnej wcale za grzech nie uważa. Panią Sand okłamały noszone przez nią spodnie. Była kobietą i musiała pokutować i cierpieć jak kobieta — do dna.

A może nie okłamały jej, bo jednak nie odebrała sobie życia (choć miała tę pokusę) i nie uciekła do klasztoru.

Przecierpiała, przechorowała tę swoją nie-dobrą miłość... potrafiła przejść nad nią do porządku dziennego, po męsku. Musiała żyć, pracować... miała jeszcze wiele kochać.

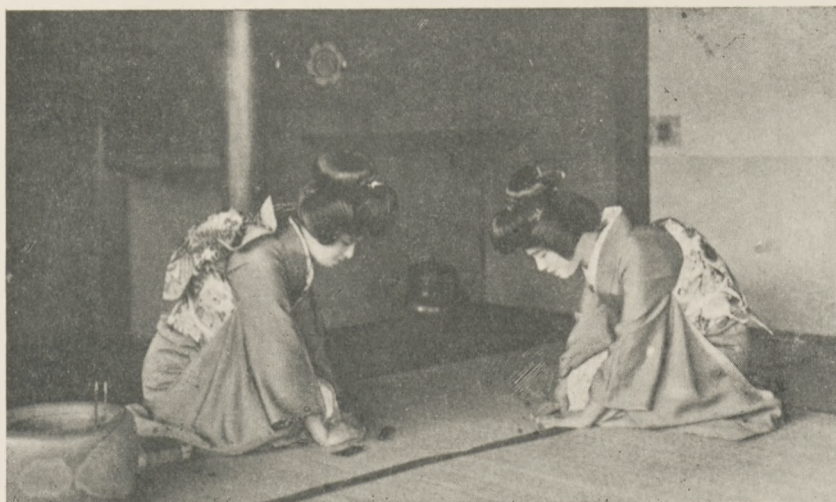
A spodnie nosiła nadal. W spodniach odbyła uroczą wycieczkę do Szwajcarii w towarzystwie innej, sztandarowo romantycznej pary — Liszta i hrabiny d'Agoult.

Zdjęła spodnie dopiero pod wpływem Szopena, który był dystyngowana i nieznośliw ekscentryczności.

Jadwiga Kiewnarska







Tradycyjne obrzędy i stroje Japonek przejdą niezadługo do historii

## JAPONKI W WALCE Z TRADYCJĄ

Przed sześćdziesięciu laty padła stara Japonja. Feudalne, odgródzone od świata państwo wysepek przeistoczyło się w potężną, nawskroś nowoczesną monarchję. Samurajów zastąpili zaciężni żołnierze, a średnio-wieczne puklerze i tarcze przekuto na broń najbardziej nowoczesną. Z kraju porcelany i laki Japonja stała się krajem maszyn i elektryczności. Całe życie — polityczne, społeczne, gospodarcze i kulturalne — w szybkim tempie uległo zasadniczym zmianom. W uświęconych wiekowymi tradycjami obyczajach powstawały coraz większe rysy. Najtrudniejsze zadanie w walce z tradycją przypadło w udziale kobietom „Kraju Kwitnącej Wiśni“.

Walka Japonek z tradycją, która zepchnęła je do roli służebnych męża i jego rodziców, jest tem godniejsza uwagi, że za czasów stosunkowo jeszcze niedawnych Japonki używały w swej ojczyźnie pewnego szacunku i względnej swobody, nieznanych gdzieindziej na Wschodzie. W wielu epokach historii japońskiej panowały nad Japonją kobiety, a w klasycznej literaturze japońskiej znajdujemy więcej nazwisk autorek, niż autorów.

Zczasem jednak teorie i nauki Konfucjusza zaczęły coraz więcej wpływać na kształtowanie się japońskich obyczajów społecznych. Konfucjanizm przeniknął do Japonji już w pierwszych wiekach po Chr.; jeśli jednak chodzi o życie społeczne, a specjalnie o kobiety, to wpływy te zaczęły wyraż-

nie objawiać się dość późno, bo dopiero od w. XVII-go. Od tego właśnie czasu daje zauważyć się zepchnięcie kobiety z piedestału, na którym poprzednio stała. Usunięto kobietę z życia publicznego i zamknięto ją tam, gdzie, zgodnie ze wskazaniem największego mędrca chińskiego, była jej właściwa sfera działania, t.j. w ognisku domowym. Japończycy postąpili tak, jak starożytni Grecy: zamknęli swoje żony w gyneczeum, poruczywszy im wychowanie dzieci i opiekę nad domem, a dla siebie zarezerwowali dowcipne i inteligentne gejsze, pełniące tę samą prawie rolę, co wesole i płomiennokie hetery helleńskie. Sławne gejsze były czczone i cieszyły się taką samą sławą, jak hetery starożytnej Hellady. Nawet „dżoro“, czyli „wesole córki miłości“, nie były w pogardzie (jak można pogardzać kobietą, która daje mężczyźnie rozkosz?).

Nad życiem Japonek zapanowały normy, od których żadna nie miała odwagi odstąpić. Normy te zostały ujęte w kodeks obyczajowy, znany pod nazwą „Onna Daigaku“ czyli „Wielka Szkoła Kobiet“. Oto kilka najważniejszych przykazań tej „szkoły“:

„Panem kobiety jest jej mąż: kobieta winna go czcić i służyć mu z oddaniem i szacunkiem.“

„Kobieta powinna być miła, posłuszna, czuła i cicha“.

„Serce kobiety nie może ulec uczuciu zażdrości. Jeżeli mężczyzna jest lekkomyślny

lub nawet rozwiązyły, winna mu zwrócić uwagę, ale bez gniewu i skargi“.

„Kobieta, wchodząc do domu swego męża, musi pamiętać, że odtąd ma służyć nie tylko swemu panu, ale i swoim teściom, wobec których musi być bezwzględnie posłuszna, bardziej nawet, niż wobec swoich rodziców.“

„Bez pozwolenia męża nie wolno kobiecie oddalać się z domu, nawet do domu rodziców, których po ślubie powinna odwiedzać jaknajrzadziej“.

„Jeżeli kobieta nie słucha teściów, jeżeli niema syna, jeżeli jest zazdrosna, jeżeli plotkuje, jeżeli jest rozwiązła — mężczyzna może bez najmniejszych trudności uzyskać rozwód“.

„Od dzieciństwa dziewczyny powinny unikać stykania się z płcią męską. Nie mówić o obcych; rozdział ten obowiązuje nawet wobec braci i narzeczonego“.

„Nie wolno kobiecie korespondować z młodymi mężczyznami, nawet jeśli chodzi o sprawy bardzo ważne“.

Te i tym podobne przepisy, ograniczające całkowicie swobodę kobiet w życiu domowym i społecznym, stały się w Japonii niewzruszonym kanonem i dzisiaj jeszcze obowiązują w tych sferach, które nie mają odwagi zerwać z tradycją. Jeszcze przed kilkoma laty niedopomyślenia było w wyższych

sferach japońskich jakieś mieszane pod względem płci zebranie towarzyskie. Wyjątek stanowiły jedynie dworskie lub dyplomatyczne przyjęcia, na które zapraszano cudzoziemców. Odosobnione życie kobiet urozmaicały tylko czasem wizyty z okazji takich uroczystości, jak: ślub lub pogrzeb, jakieś przedstawienie teatralne, święta narodowe, lub święta kwiatów.

Kiedy przed trzydziestu laty córka pewnego podupadłego szlachcica wstąpiła na służbę państwową, narzeczony jej popełnił „harakiri“, nie mógł bowiem znieść hańby, jaką go, w jego pojęciu, okryła narzeczona.

A teraz w Japonii pełno kobiet lekarek, farmaceutek, dentystek, dziennikarek, reporterów, urzędniczek. Kobiety pracują jako konduktorki w pociągach, tramwajach i autobusach, jako ekspedjentki lub modelki w wielkich magazynach, jako telefonistki, kelnerki, windziarki, szoferki, muzykantki w orkiestrach jazzowych, jako „taxi-tancerki“ w restauracjach i dancinгах (dla zwalczania tych groźnych konkurentek gejsz otwarto w Tokio specjalną szkołę tańców nowoczesnych dla gejsz).

Najtrudniejsze zadanie mają Japonki w walce o prawa polityczne. Przyznano już, co prawda, kobietom japońskim prawo głosu i zajmowania stanowisk w reprezentacjach wiejskich i miejskich, nie uzyskały one je-



Słynna japońska gwiazda filmowa o charakterystycznym wyglądzie i kroju oczu przed operacją plastyczną, która „zeuropeizowała“ jej twarz. Operacje plastyczne są obecnie bardzo modne w Japonii



Ta sama artystka po zabiegach chirurgiczno-plastycznych. Metamorfoza uzyskana została przez odpowiednie założenia skóry powiek, zmniejszające odległość między okiem i brwią

szcze natomiast prawa głosowania do parlamentu. O prawa swoje walczą Japonki bardzo energicznie słowem żywym — na zebraniach, zgromadzeniach i w różnego rodzaju klubach — i słowem drukowanym. W Japonii stnieje potężna prasa kobieca, a niektóre pisma liczą nawet aż po pół miliona nakładu. Pozatem wielkie i wpływowe pisma codzienne poświęcają bardzo dużo miejsca sprawom kobiecym.

Jeszcze jeden twardy orzech do zgryzienia — to sprawa zawierania związków małżeńskich i sprawa rozwodów. Jeżeli chodzi o tę pierwszą sprawę, Japonki mają przeciwko sobie przedewszystkiem tradycję. Zgodnie z tradycją „Wielkiej Szkoły Kobiet“, małżeństwo japońskie powstaje drogą układów między rodzicami narzeczonej i narzeczonego za pośrednictwem zawodowego swata. Miłości, czy zbliżenia się w sensie zwyczajów, panujących na Zachodzie, w Japonii nie znają. Rezultatem tego jest przeważnie małżeństwo „z rozsądku“; miłość i poświęcenie, jakimi na Zachodzie mężczyzna darzy swą towarzyszkę życia, tutaj skierowane są ku matce, zamiast ku żonie. Tem tłumaczy się przemożny wpływ matki nad żonatym synem, synową i całym wogóle domem.

Jeśli chodzi o rozwody, to, jak już zaznaczyliśmy, przytaczając przepisy „Onna Daigaku“, sprawa ta była bardzo łatwa do przeprowadzenia na korzyść mężczyzny. Wy-

magano tylko jego oświadczenia i aprobaty rady familijnej. Zwykły kaprys mężczyzny, posadzenie kobiety o zazdrość czy plotkarstwo — były dostatecznymi argumentami, które mogły rozwiązać małżeństwo: wymazywano nazwisko żony z rejestru cywilnego rodziny męża i przywracano jej nazwisko jej własnej rodziny, do której ją odsyłało. Dziś stosunki te uległy pewnym zmianom na korzyść kobiet. Korzystają już one z ochrony prawnej i, co więcej, same mogą ubiegać się o rozwód i żądać alimentów, jeżeli uważają się za skrzywdzone lub źle traktowane przez swych mężów lub teściów. Ostatnio nawet niedotrzymanie przyrzeczenia posłobienia może być zaskarżone do sądu.

Japonka, której przyjsie na świat jeszcze dzisiaj uważane jest za „rozczarowanie“, w walce z tępymi przesądami tradycji, sięga coraz wyżej, wywalcza sobie wciąż nowe prawa, obalające jej feudalną niewolę, i niedługo patrzeć, jak zajmie w swem społeczeństwie takie same miejsce, jak jej siostrzyce zachodnie. Zniknie, być może, z twarzy Japonek nieschodzący z nich uśmiech, będzie może coraz mniej barwnych kimon, wymyślnych fryzur i stukających sandałów — „get“ — ale wolno będzie Japonkom bez obawy o utratę męża... plotkować, i wolno im będzie zająć w życiu kraju te same stanowiska, i cieszyć się temi samemi przywilejami, do jakich dotychczas rościli sobie wyłączne prawa, mężczyźni.

Dr. Michał Derenicz

## Pachnące dłonie

Piękna pani Iza dowiedziała się od pani Kazi, przyjaciółki pani Danusi, która jest kuzynką słabowitej pani Lili, że lekarz zabronił tej ostatniej palić papierosy z powodu szkodliwego działania nikotyny na jej wąty organizm. Wszystkie przyjaciółki pani Lili i wszystkie przyjaciółki ich przyjaciółek zdecydowały, że każda z nich jest wątła i słabowita, lecz wyrzec się palenia nie mogą, a natomiast postanawiają znaleźć sposób, by uchronić się przed skutkami tak zgubnej, a tak bardzo tajemniczej (głównie — niezrozumiałej) nikotyny.

Ktoś poradził używanie tutek (piętnastowatek) lub wprost nakładanie waty do cygarniczek. Najlepiej waty różowej, albo żółtej, byle nie białej, bo... no, bo biała nie jest ani różowa, ani żółta. — Ponieważ panie paliły papierosy bezustnikowe, więc poczęto

ładować wate do cygarniczek. Coprawda smak papierosów jakoś nieprzyjemnie się zmienił, ale zato panie przekonane były, że brunatny osad spalinowy na watce zatrzymuje wszystkie djabliki nikotyny. Tragedja zaczęła się dopiero przy zmianie watek w cygarniczkach. Otworki się zatykały, nie pomagały szpilki i grzęznące drewnienka, a pachnące dłonie pań... dziwnie przestały pachnąć.

Sprawa niezawodnie skomplikowałaby się groźnie, gdyby jedna z pięknych pań nie dostrzegła przypadkowo, że istnieją papierosy chemicznie odnikotynowane. Próba palenia tych papierosów wypadła znakomicie. Rzucano watki w ką, poczęły krażyć kółka wonnego dymku, a paluszki... paluszki były już tylko do całowania.

N. N.

# U M I E R A J Ą C Y Ł A B Ę D Ź



Nieodżałowanej pamięci genialna tancerka Anna Pawłowa, której nazwisko pozostanie nazawsze wielkiem w światowej historii sztuki tanecznej

# PIERWSZY MIĘDZYNA TAŃCA ARTYSTYCZNA

CZERWIEC



**THUSNELDA WALTER** (Szwajcaria)



**OLGA SŁAWSKA** z Warszawy, nagrodzona złotym medalem, jako najlepsza tancerka polska



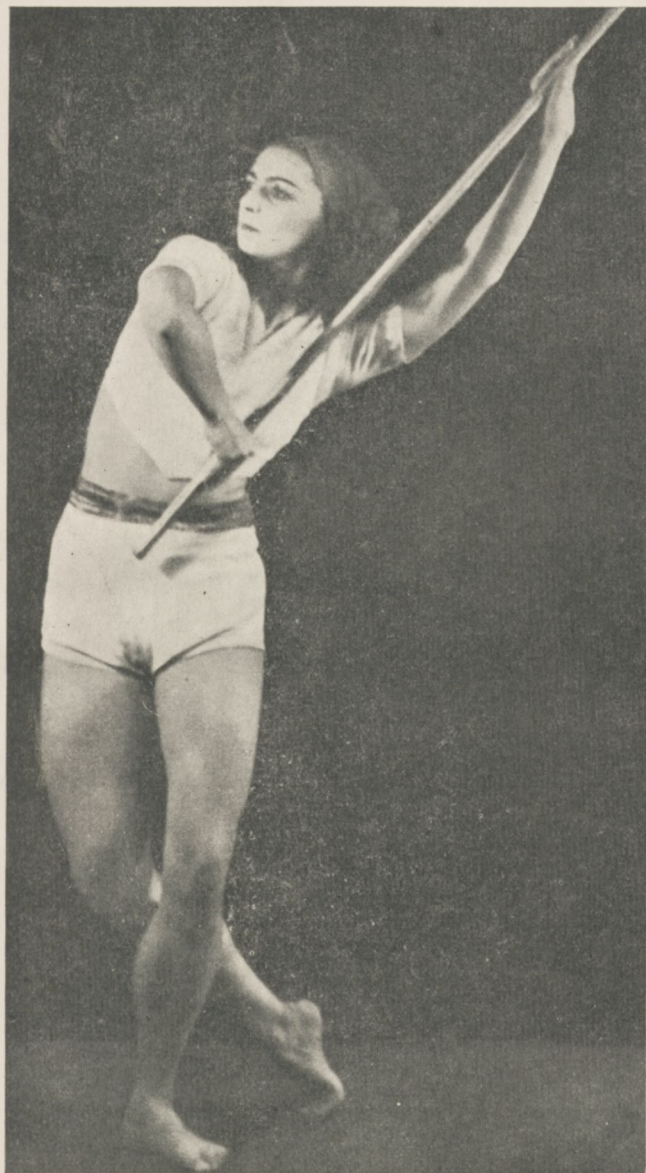
Fot. z lewej strony:

**ROLF ARCO** z Berlina (III nagroda) w pełnym dramatycznej ekspresji tańcu „Gigolo”

Fot. Z. S.

# NARODOWY KONKURS TANECZNY W WARSZAWIE

VIĘC 1933



**ROSALIA CHLADEK** z Pragi Czeskiej (II-ga nagroda konkursu) w „Tańcu z Drążkiem”

ol. Z. Szajer



**RUTH SOREL** z opery berlińskiej, zdobywczyni I-ej nagrody na konkursie, w tańcu „Salome”



Fot. z prawej strony:

**AFRIKA DOERING** (Niemcy) jedna z najbardziej oklaskiwanych tancerek konkursu



LEA NIAKO

przepiękna reprezentantka Persji na Międzynarodowym Konkursie Tańca Artystycznego



## JAK MILJONY PRACOWITYCH RĄK



...tak niezliczone ilości pęcherzyków tlenu, wytwarzają się przy gotowaniu bielizny (przynajmniej 15 minut) w Radionie, przenikają wraz z mydlinami tkaninę, usuwają z niej wszelki brud i nadają śnieżnobiały wygląd. Radion oszczędza wiele trudu i czasu



"...A PRZEDTEM NAMOCZYĆ W PROSZKU SCHICHTA"

# OBŁĘD RZECZYWISTOŚCI



**ZBIGNIEW UNIŁOWSKI**

mlody, utalentowany pisarz, który niedawno wywołał swym „Wspólnym Pokojem“ tyle namiętnych zarzutów i równie gorących aprobat, wypuszcza w dniach najbliższych na rynek swą nową książkę — zbiór humoresek i nowel pod ogólnym tytułem „Człowiek w oknie“

Ucisk bezbrzeżnej tęsknoty za obszarem dali morskiej, — granatowem sitem nieba iskrzącego się gwiazdami nocy letniej, za fantastycznymi cieniami głązów lizanych falami przypływów, za owym słonym zapachem wietrzynym, co płuća uczuciem absolutnej swobody przenika, wreszcie potwornie gorączkowa monotonja oczekiwania na sen, dręczyły więźnia celi numer sto pięć.

Przez kwadrat okienka we drzwiach ciężko okutych wpadał do celi pas świetlny. Po pasie tym posuwał się tam i zpowrotem człowiek zgarbiony, z rękami — naskutek przyzwyczajenia chyba — założonemi dotyłu. Na tym to kilkumetrowym szlaku, więzień przechodził w ciągu nocy całe obszary. Wokół panowała chłodna, stężała ciemność.

Wyczuciem, wysubtelnionem wyczuciem istoty pozbawionej możności władania przestrzenią i wymiany myśli z współbiesiadnikami cudownego stołu życia, więzień zdawał sobie sprawę z ilości godzin, co upłynę-

ły od północy poprzedniej. Wiedział, że jest jedenasta i wistocie mylił się o kilka minut zaledwie. Skądże płynęły te prądy ożywce, niepozwalające nerwom zapaść w stan odręwienia, w bezwład, z któregooby skorzystał sen aby pograżyć człowieka w swem pozaziemstwie? Od dziewięćdziesięciu sześciu godzin, to znaczy od chwili, kiedy się dowiedział, że póki serce jego bić, a myśl istnieć będzie, nie ujrzy nic poza wilgotnym szęścianem swej celi i posępną twarzą karmiącego manekina-dozorcy, — od chwili tej skazaniec uczuł w swej głowie jakiś terkotliwy aparat wizyjny, dostarczający oczom — wbrew woli — najpiękniejszych pejzaży minionego życia. Oh, bo czegoż tam nie było? Wargi tej, co mieszkała w sercu jego, uśmiech matki, gibotanie łodzi na falach szalejących w słońcu, obfity połów, nierealne działanie cierpkiego wina w towarzystwie najmilszych kompanów, ba! — szczęście dnia niedzielnego i pewien obłok czasu burzy, kształtem swym czarnego anioła przypominający. Najróżniejsze możliwości korzystania z tego, co już przeszło, rozwijał ów aparat przed wzrokiem skazańca. Wymyślne sytuacyjki, drobne uroki życia, których się podczas swobody nie zauważa, tutaj jaskrawo ukazywał ów szal imaginacyjny, co się w mózgu skazanego na dożywocie usadowił.

I chyba wszelkie narkotyki świata nie zdołałyby uspokoić tego niepotrzebnie twórczego rozpasania. Gdybyż mógł oszaleć, zapaść w otchłań niezrozumienia swej doli. Lecz nie. Gdzieś w jednym z zwojów płata mózgowego chytrze ukrył się pewien czynnik regulujący wiry prądów nerwowych. Pracowicie rozdzielał je, rozplątał, jeżeli na chwilę zetknęły się ze sobą, pomieszały i poczyniły ulgę braku logiki, co nieubłaganie tętniła, silną dłonią trzymając cugle rozwydrzonych nonsensów.

Tam za drzwiami zgrzytało żelazo podkutych butów strażnika. Kamienna posadzka żałośnie dźwięczała pod niespieszącymi krokami. Potworny akompanjament do żalobnego śpiewu wolności skazańca.

Cisza jednak była tak wielka, że oddziaływała na nerwy z równym największemu hałasowi skutkiem. Więzień przysunął twarz, bladą bardzo, do okratowanego w drzwiach otworu i w posępnej poświacie, tlejącej się

gdzieś u sufitu kurytarza lampki, błysnęły oczy: niby dwa czarne, ruchliwe żuki. Patrzył na przeciwległą, zielonkawą pleśnią porośłą ścianę. Ale brunatna nierówność głazu nie odwróciła uwagi od plastycznych wizyj, co wychodziły z wnętrza głowy i kolorowymi płatami trwały przed oczami. Ha, przeciwnie! — Właśnie na wyłomie ukazał się pewien obraz radosny: oto rybacy sieci naprawiają, psotnik Jozue wsadził do kurty starego Mirona małą rybkę, co się między dwa oka sieci zaplątała. Pracują w słońcu. Tak, ooouhhu!! Czyż już wszystko się przeciw mnie sprzysięgło?!

Nagle obraz, wprawdzie inny nieco, wpadł pod zamknięte powieki, i trwał tam. Chude palce uchwyciły zardzewiałe pręty żelazne w okienku. Całe ciało zwiśło i broda oparła się o zakurzone pobrzeże judasza. Oczy ujrzały coś, co już naprawdę nie było wizją.

Akurat naprzeciw, przy brunatnej ścianie, stanął człowiek i oparł się o nią plecami. Był to strażnik więzienny, sprawujący dyżur nocny. Zmęczył go widać spacer po chłodnym i śmierdzącym wyziewami lochów kurytarzu. Karabin postawił tuż obok i kamienna płyta posadzki jęknęła pod żelaznym trzewiczkiem kolby. Człowiek miał wesołą, pyzată twarz, słabym zarostem pokrytą. Tłuste policzki ostro rysowały się w oleistym świetle lampki. I, zdawaćby się mogło, że naskutek dziwnego załamania się promieni świetlnych, jedno oko błyszczało życiem wprost niesamowitem, podczas gdy drugie tkwiło martwo w oczodole. Stojąc tak, człowiek szpic zabłoconego buta oparł o posadzkę, mając jednocześnie lewą nogę wyprostowaną. Nie wiedział, że śledziły go przymglone od rozkoszy realizmu — oczy więźnia. Zdjął czapkę, z blachą otoczonym daszkiem, i powiesił ją na lufie karabinu. Postrzępioną szmatą, wyjętą z kieszeni portek, wytarł czoło, odsuwając z niego sklezione w kosmyki włosy. Odsapnął głęboko i dłuższą chwilę stał nieruchomo z głową odchyloną w prawo i lekko opuszczoną ku ramieniu. Przemknęło mu nieco myśli przez głowę, dziwnych, dawnych wspomnień, z czasów kiedy to w wojnach różnych brał udział: tak, ranniony przecież był niejednokrotnie, kontuzjowany nawet, zato też dostał posadę, w tem

odludnem i ciężkiem więzieniu. W zamyśleniu dłuwał w nosie, ale raptem, jakby mu jakiś pomysł strzelił do głowy, przybliżył palce do owego tak martwo wyglądającego oka i spokojnym lecz wprawnym ruchem wyjął je i począł czyścić rękawem, poczem przyjrzał mu się, mrużąc drugie oko. Na twarzy jego ukazał się grymas człowieka, którego dręczy ponure wspomnienie. Trzymając w dalszym ciągu oko w trzech palcach prawej ręki począł niem słydać w czaszkę, coś tak powyżej skroni. Słychać było wyraźne stukanie, jakgdyby twardym przedmiotem, szkłem może, uderzał o metal jakiś. Przerwał owe pukanie, jął natomiast podrzucać w rękę swe oko, łapiąc je w powietrzu. Raptem usłyszał stłumiony krzyk i osunięcie się ciała. Spojrzał naprzeciw, ale nic nie ujrział, zato oko mu wypadło z ręki i potoczyło się po posadzce. Niżej było ciemniej, więc gramolił się niezgrabnie, szurając butami po posadzce — pochylony. Szukał długą chwilę i wreszcie znalazł. Mianowicie zetknął się z tem okiem, następując nań swym podkutym butem. Rozległ się zgrzyt, bolesne dla nerwów piszczenie szkła przygniatanego do kamienia. Człowiek krzyknął głośno, zakrywając dłonią pusty oczodół. W dalszych celach słychać było poruszenie. Nałożył szybko czapkę i karabin przewiesił przez ramię. Pobiegnął do celi naprzeciw, przecie słyszał tam krzyk jakiś. Długo, i nerwowo otwierał drzwi. Ujrzał więźnia leżącego na podłodze bez przytomności. Przyszedł jeszcze ktoś drugi też z karabinem, kto pomógł mu przynieść ciało do sali dla chorych. Skazaniec celi sto pięć był długo nieprzytomny, ale nad ranem przyszedł zupełnie do siebie. Groził tylko wszystkim, że wyjmie sobie żołądek, sam do niego zupy naleje i włoży go do środka. Gdy patrzył, mrużył oczy. Był spokojny, tylko nie mógł pojąć, że mu zmniejszono karę do lat dziesięciu. Gdy mu to mówiono, powiadał, że nic nie wie wogóle o żadnej karze, i niechaj mu życia nie zmieniają. Chciałby patrzeć na pewną ścianę, gdzie stał człowiek, który tak jak on potrafi z siebie wyjmować różne przedmioty. Tam w mózgu wiele rzeczy zniszczył pewien widok, toteż panowała cisza i spokój — jak po burzy.

Zbigniew Uniłowski

---

**Ilustracja na l-szej stronie okładki:**

**AKT — rysunek JÓZEFA PANKIEWICZA**

---



Fragment wnętrza „SIM'u”. Meble projektowane przez p. Z. Raczyńską-Arciszewską

## PRZEZ SZTUKĘ – DO ŻYCIA NA CODZIEN

W ostatnich miesiącach powstała w Warszawie nowa placówka kobieca, która obrała sobie siedzibę w kawiarni.

Koncepcja nowoczesna, zgodna z duchem czasu. Kawiarnia stała się dziś potrzebą dnia codziennego, miejscem wymiany słów, przelotnych spotkań. Kawiarnia zastępuje częściowo i dom własny i klub towarzyski. Stała się w życiu przeciętnego inteligenta czymś nieodzownym, a w miarę — jak rośnie jej znaczenie i użyteczność — wzmagają się również i nasze w stosunku do niej wymagania.

Toteż widzimy, że w ostatnich latach powstają w stolicy lokale kawiarniane coraz piękniejsze, coraz staranniej urządzone, obliczone na zapewnienie bywalcom pewnego zadowolenia estetycznego, pewnego komfortu i przyjemności. Bezapelacyjny rekord w tej dziedzinie, mimo ostrej konkurencji, zdobyła nowootwarta kawiarnia „SIM” (Sztuka i Moda), wspomniana na wstępie placówka kobieca, dzieło utalentowanych rąk zna-

nej artystki — p. Zofji Raczyńskiej-Arciszewskiej.

Sama kawiarnia jest raczej pretekstem do poczynań szerszych, raczej bazą działania, punktem zbornym. Jako punkt zborny, wyposażona została we wszystkie „argumenty” atrakcyjne i dzięki nim — spełnia swoje zadanie znakomicie. Właściwie „SIM” jest nie tylko kawiarnią, lecz raczej — salo- nem sztuki stosowanej, poczynając od pysznego rozwiązania kolorów ścian, poprzez artystyczne meble, dekoracyjne lampy, przesłanicznie dobraną porcelanę, aż do wszelkich drobiazgów składających się na całość kawiarni, pojętej nowocześnie w kategoriach — klubu towarzyskiego.

— Chcę, żeby było ładnie — mówi uroczą założycielka „SIM'u”, p. Zofja Raczyńska. I osiągnęła w swojej kawiarni ten stopień ładności, który ściągą do jej kawiarni tłumy, którym nie tylko dobrze się siedzi w tym prawdziwie klubowym lokalu, lecz które zarazem uczą się naocznie i namacalnie,

jak ładnie można dziś nie tylko siedzieć w kawiarni, lecz także — mieszkać. O tem także pomyślała p. Raczyńska, wystawiając w kawiarni dwa fragmenty wnętrza mieszkalnych. Trudno się dziwić, że do „SiM-u“ wiele osób przychodzi jak na wystawę: żeby obejrzeć i zapamiętać.

Chwilowo, po zdobyciu sukcesów i ochłonięciu z pochwał, które należało notować w specjalnej książce kawiarnianych turystów, pani Raczyńska przechodzi ostry kryzys kłopotów i zmartwień. W pięknych kaktusach znajduje opałki papierosów. Piękną porcelaną obija niecierpliwie stukająca na służbę łyżeczka. Pocieszmy ją: jeszcze trochę cierpliwości. Publiczność już oceniła „ładność“ „SiM-u“, trzeba się teraz tylko z nią umówić, że kontynuowanie tej ładności zależy także od klientów, od klubowców kawiarnianych.

Niecierpliwść ludzi, mających we krwi potrzebę działania, nie daje im chwili spoczynku. Pani Raczyńska już uczyniła swoją kawiarnię punktem zbornym i klubem towarzyskim. Teraz — niecierpliwie wyrывa się do organizowania na terenie tej bazy najważniejszych swoich poczynań, do realizo-

wania tych swoich artystycznych celów, dla których sama kawiarnia jest pretekstem.

Więc: będziemy mieli na terenie „SiM-u“ wystawy malarstwa, grafiki i rzeźby. Wieczory literacko-artystyczne, dyskusje na odwieczny i zawsze atrakcyjny temat — kobiety. „SiM“ będzie terenem, wprowadzającym polski model sukni według projektów naszych artystów-malarzy. „SiM“ posiadać będzie poradnię fachowo-artystyczną, która powie nam: jak urządzać domy, mieszkania, sklepy — według stylu dnia dzisiejszego lub minionych epok. „SiM“ będzie na swoim terenie demonstrował efekty świetlne i modele polskiej lampy dekoracyjnej. Słowem „SiM“ będzie realizować hasło, wymienione w tytule: „przez sztukę do życia na codzień“.

Teraz już wiemy, dlaczego „SiM“ jest nie tylko kawiarnią, lecz — placówką kobiecą. W dodatku — placówką pierwszą tego rodzaju w stolicy.

Czekamy niecierpliwie na realizację zapowiedzi. Początek zresztą został uczyniony: wieczory artystyczne zaczęły się i nabrały pędu. Prosimy o ciąg dalszy.

**Kazimiera Muszałówna**



Drugi fragment wnętrza „SiM'u“

## Bezkonkurencyjny Instytut Piękności

Nareszcie, nareszcie — lato! Od stóp do maciupiękniego kapelusika jesteśmy krzykiem najnowszej mody. Dumne ze swego wyglądu wyszliśmy z pod dachów i parasoli, by się pokazać światu w całej swej klasie i krasie...

Tylko z tą krasą różnie bywa. Aż nazbyt często widać zmizerowane twarze, wybladłe w mrokach zimy. Nie zaradzi temu najpoważniejsza kosmetyka; reminiscencyj zimy nie zarządzi całkowicie najbardziej nawet intensywny maquillage.

Pełną regenerację sił i urody dać nam może tylko... morze. Parę tygodni, czy chociażby tylko dni na morzu czynią prawdziwe cuda. Bo morze jest przewspaniałym insty-

tutem piękności, w którym ordynuje najgenialniejszy lekarz świata — słońce.

Po monotonji całorocznej, po długim okresie pracy i serji codziennych udruk — każdy pragnie całkowitego oderwania się od powszedniości, marzy o wyprawach na międzynarodowe szlaki, znane doniedawna bodaj tylko z powieści.

Ale rzeczywistość jest lepsza, aniżeli przypuszczamy. Każdy człowiek pracy może dzisiaj mimo kryzysu i powszechnego zubożenia pozwolić sobie na piękną wycieczkę morską. Budżet takiej wyprawy poczyna się od stu złotych. Po informację zwróćcie się do Linji Gdynia—Ameryka!

(N)



Odjazd okrętu Linji Gdynia -- Ameryka „Pułaskiego” z Gdyni do Kopenhagi



Grupa uczenic pensji im. Cecylji Zyberk-Plater z Warszawy na pokładzie „Pułaskiego” w drodze do Danji



L o d y!... L o d y!...





# RACJONALNA KOSMETYKA

oficjalny organ

STOWARZYSZENIA WŁAŚCICIELEK GABINETÓW KOSMETYCZNYCH  
● W POLSCE ●

---

## ORGANIZUJMY ZAWÓD KOSMETYCZNY!

Redakcja nowopowstałego „Ilustrowanego Magazynu Kobiecego PANI“ zwróciła się do mnie, jako do prezeski Stowarzyszenia Właścicielek Gabinetów Kosmetycznych w Polsce z prośbą, abym w jednym z pierwszych numerów tego wydawnictwa zabrała głos w sprawach organizacyjnych naszego zawodu.

Przedewszystkiem muszę z radością powitać fakt powstania tego naprawdę wytwornego pisma, zwracającego uwagę swoją staranną i efektowną szatą zewnętrzną oraz poważną treścią; — jestem pewna, że pismo to znajdzie liczne rzesze czytelniczek i prenumeratorek nie tylko wśród elity towarzyskiej, ale również i przedewszystkiem wśród kosmetyczek polskich, zwłaszcza, że dla tych ostatnich otwarło gościnnie swoje łamy i zaprosiło je do współpracy.

Chętnie korzystam ze sposobności, aby podzielić się z czytelniczkami paru uwagami, jakie się nasuwają w związku z tem zagadnieniem. Nie będę tu podnosić argumentów teoretycznych i praktycznych, które niezbitnie wykazują wartość wszelkiej organizacji luźnego zespołu ludzi, dążących do tego samego celu: prawdy te są zbyt oczywiste i zrozumiałe, aby trzeba było szczegółowo je analizować. Wszyscy wiemy, że tylko przez organizację ten luźny zespół ludzki osiągnie cele, których nawet największym wysiłkiem indywidualnym, a niespolonym — nigdyby nie osiągnął, a jednak na każdym kroku ze zgrozą spostrzec możemy, jak wielkie ilości sił społecznych marnują się bezowocnie — właśnie przez brak zespolenia ich przez organizację!

Weźmy dla przykładu bliższy przykład z dziedziny stosunków, panujących w kosmetyce polskiej.

Z radością widzimy, że istnieją podwaliny zawodowo-organizacyjne — wyrażając się jaśniej — stwierdzamy fakt istnienia od przeszło roku Stowarzyszenia Właścicielek Gabinetów Kosmetycznych w Polsce z siedzibą w Warszawie (Wilcza 19 m. 9). Stowarzyszenie to jest najpoważniejszą organizacją zawodową na terenie polskiej kosmetyki, choć narazie grupuje tylko pierwszorzędne gabinety kosmetyczne w Warszawie. Stowarzyszenie to jest organizacją jeszcze młodą, ale jakże żywotną! — i jak śmiało dążącą do realizacji wytkniętych haseł i celów!

Cele te najogólniej wylicza § 5 Statutu, mówiąc o „obronie interesów zawodowych swych członków, pogłębianiu ich wiadomości fachowych czuwania nad ich godnością i etyką zawodową, rozwijaniu stosunków koleżeńskich między nimi, oraz o solidarnym dążeniu do polepszenia warunków ich bytu“.

Stowarzyszenie nasze powstało dzięki inicjatywie grona światlejszych koleżanek, które postanowiły wyjść z dotychczasowego egoistycznego zasklepienia się, przełamując pierwotne „konkurencyjne“ zawiści i nieufności...

Fakt położenia tego węgielnego kamienia pod budowę potężnego gmachu zorganizowanej polskiej kosmetyki — zdaje się, nie wywołał tego zrozumienia, na jakie bezspornie zasługuje!

A przecież dzięki tej inicjatywie małej stonkowo grupki — stała się rzecz o doniosłym znaczeniu na przyszłość: powstał zorganizowany zawód kosmetyczny, świadomie i solidarnie dążący do wytkniętych celów i wrażliwy na potrzebę dość silną, aby o te cele walczyć, gdy zachodzi tego potrzeba!

Przecież to dopiero początek działalności, a jednak Stowarzyszenie wysyła delegatów do Sądów Pracy, nawiązuje kontakt z warszawską Izbą Przemysłowo-Handlową, z władzami skarbowymi, administracyjnymi...

I naprawdę rzeczą zupełnie niezrozumiałą jest fakt istnienia dużej jeszcze ilości t. zw. „dzikich“ kosmetyczek, to jest tych, które jak ognia unikają własnej organizacji, szkodę przynosząc nietylko sobie, ale i całemu zawodowi kosmetycznemu, hamując rozwój organizacji zawodowej, mającej ogólne dobro na względzie...

Jest to grzech społeczny bardzo ciężki i żądne wymówki braku czasu czy pieniędzy zmyć go nie mogą.

Jednostki uchylające się od obowiązku organizacyjnego wykazują w pełni całą swoją aspołeczność, co w dzisiejszym ustroju bezwzględnie zasługuje na potępienie...

Wysiłki organizacyjne nie mogą jednak bezowocnie zginąć!

Jestem przekonana, że w krótkim już czasie wszystkie kosmetyczki zrozumieją, jak wiele tracą, nie przykładając cegiełki do budowy własnego gmachu, w którym same bezpieczne schronienie znajdują...

Nie chciałabym tylko, aby do tego przeświadczenia dochodziły dopiero po jakimś bolesnym doświadczeniu, które z drugiej strony byłoby jednak najbardziej zasłużoną karą.

Rzuciliśmy hasło: „Organizujmy zawód kosmetyczny!“ — zbudowaliśmy pierwsze podstawy organizacyjne, pokonaliśmy pierwsze, najtrudniejsze zwykle, przeszkody, przełamujemy opór jednostek aspołecznych, wzywamy wszystkich do współpracy, nie spoczywamy na laurach, dokładnie zdajemy sobie sprawę, ile jest jeszcze do zrobienia na tem polu i jak wielkiego ogromu pracy na to potrzeba... ale nie zniechęcamy się i śmiało dążymy naprzód, wierząc, że praca nasza wyda owoce dla dobra wszystkich kosmetyczek, dla dobra całego zawodu... i to będzie naszą największą nagrodą!

Stowarzyszenie Właścielek Gabinetów Kosmetycznych tylko w części realizuje to hasło. Trzeba uwzględnić wszystkie kategorie pracowników kosmetycznych, a więc nietylko właścicieli, ale i tych, co własnych gabinetów nie mają... a tych jest przecież legion, setkami wypuszczanych z rozmaitych

szkół i kursów kosmetycznych. Jak wiele z nich nie może wykorzystać swej ciężko zdobytej wiedzy, właśnie przez brak organizacji, któraby niemi się zaopiekowała i po przeszkoleniu w jakimś dobrym gabinecie mogła śmiało wypuścić do uczciwej walki życiowej!...

Potrzeba jest organizacji, któraby ześrodkowała w sobie popyt i podaż młodych sił kosmetycznych, z których tyle marnuje się po różnych salonach fryzjerskich, jako manicurzystki, pomocnice i t. p.

Szkoda jest straconego czasu i pieniędzy — szkoda straty sił, które mogłyby produkcyjniej pracować dla dobra swego i kraju...

Ponieważ podejmowane kiedyś próby organizacji odrębnego stowarzyszenia pracowników zawodu kosmetycznego nie dały pożądaných rezultatów, a natomiast rozwój naszego Stowarzyszenia rokuje jaknajlepsze nadzieje — jest więc rzeczą do dyskusji, czy nie należałoby w naszym Stowarzyszeniu wyłonić sekcji pracowników i kandydatów zawodu kosmetycznego?

Do tego tematu pozwolę sobie jeszcze powrócić, omawiając rolę i zadania kosmetyki polskiej, chcę tylko dobitnie podkreślić, że jest to zagadnienie zewszecmiar aktualne i możliwie w jaknajkrótszym czasie powinno być należycie rozwiązane.

Na zakończenie pozwolę sobie zwrócić uwagę na jeden szczegół bardzo aktualny i ważny, a mianowicie: opracowuje się obecnie projekt Ustawy Kosmetycznej, która może zmienić gruntownie warunki naszej pracy i dla wielu być prawdziwą katastrofą lub niespodzianką! Przy opracowaniu tego projektu nie może pod żadnym pozorem zabraknąć tych, których ustawa będzie dotyczyć, a więc nas — kosmetyczek! Stowarzyszenie dołoży wszelkich starań, aby go nie pominięto w tej pracy, ale ponieważ tylko z potężną organizacją będą się władze liczyły, więc apel organizacyjny nabiera szczególnej wagi i dopiero teraz może być przez wszystkich należycie oceniony:

**Kosmetyczki z całej Polski — łączcie się!**

**Marja Kretczmerowa**

Przeszka Stowarzyszenia Właścielek Gabinetów Kosmetycznych w Polsce i właścicielka Gabinetu Kosm. „Cléopâtre“ w Warszawie

# STOWARZYSZENIE WŁAŚCICIELEK GABINETÓW KOSMETYCZNYCH W POLSCE

poleca uwadze Czytelniczek następujące

## GABINETY ZWIĄZKOWE

### WARSZAWA:

Albrechtowa Janina „Kosmeo“	Chmielna 29 (parter)	tel. 796-48
Aleksandrowiczowa Inna	Wilcza 21 m. 3	tel. 9.19-14
„Anais“ J. Ajzensztatowej i A. Szmitowej	Al. Jerozolimska 34 m. 3	tel. 210-50
„Andrea“	Sienkiewicza 4	tel. 625-05
Antoniewiczowa Helena	Żolibórz, pl. Wilsona 4 (wej- ście od Marymonckiej 2)	tel. 11.50-07
„Danieli“	Hoża 40	tel. 9.56-36
„I z i s“	Żabia 4	tel. 761-53
Kasperska Marja „Kosmeo“	oddział Marszałkowska 94	tel. 9.98-68
Kretczmerowa Marja gab. „Cléopâtre“	pl. Napoleona 6 F-ma Predrag	tel. 733-39
Miszewska Anna	Wilcza 19	tel. 8.06-67
Poznańska Magdalena gab. „Madeleine“	Hoża 50	tel. 9.36-17
Rozmaryn-Goldsteinowa Helena	Mokotowska 52	tel. 8.08-37
Różańska Józefa gab. „Pani“	Nowogrodzka 31 (parter)	tel. 9.58-98
Gabinet Lecznico - Kosmetyczny D-rowej Sadowskiej Jadwigi	Al. Ujazdowska 39	tel. 8.82-76
Szredersowa Zofja	Krak. Przedmieście 7 m. 12	tel. 608-96
Trzebiecka Zofja „Ninon de Lenclos“	Piusa XI (Piękna) 35 m. 5	tel. 8.70-93
Wasilewska Zofja gab. „Zoja“	Lwowska 6	tel. 8.37-91
Weltowa Eugenja gab. „Nowoczesny“	Służewska 4	tel. 8.63-31
	Wilcza 55	tel. 8.95-77

### KATOWICE:

„Pani” — Buczkowa Marja Teatralna 8

### KRAKÓW:

„Madeleine“ Św. Tomasza 24 tel. 172-77

### POZNAŃ:

„Madeleine“ Ratajczaka 29 tel. 54-37

## DROGI I MANOWCE KOSMETYKI

Od kilku lat kosmetyka w Polsce zaczęła się stawać zawodem modnym. Z roku na rok w szybkim tempie zwiększa się, z jednej strony — poczucie jej potrzeby wśród coraz szerszych sfer publiczności, z drugiej zaś, znacznie wyprzedzając zapotrzebowanie, mnożą się kadry wykształconych kosmetyczek, co prowadzi już dziś do zdecydowanej nadprodukcji sił wykwalifikowanych.

Odpowiednia opieka ze strony sfer kierowniczych nad zawodem i przemysłem kosmetycznym może przynieść krajowi w bardzo krótkim czasie olbrzymie korzyści. Polski przemysł kosmetyczny może nie tylko nasycić całkowicie rynek miejscowy, rugując wyroby zagraniczne, ale może stać się również poważnym eksporterem do krajów wschodnich i południowo-wschodnich Europy. Na rynkach tych nasze wyroby kosmetyczne, jak mydła toaletowe, kremy, pudry i t. p. łatwo będą mogły konkurować z innymi, i to nie tylko pod względem cen, ale i jakości.

Jako jedna z pionierek w powojennej Polsce w zawodzie kosmetycznym, zastanawiałam się nieraz, dlaczego zarówno ten zawód jak i przemysł mają tak wielu nieprzychylnych na rodzimym gruncie? Doszłam do przekonania, że i po jednej i po drugiej stronie, jak to zazwyczaj bywa w ludzkich stosunkach, leży wina.

Spółeczeństwo nasze, a szczególnie kobiety (one bowiem w tym wypadku są czynnikiem decydującym), prawie z reguły bezkrytycznie i z najwyższym entuzjazmem akceptują każdy kosmetyk noszący etykietę zagraniczną. W pobożnym skupieniu, ze świętą wiarą w sercu czytają dołączone do zagranicznych wyrobów długie prospekty, biorąc za dobrą monetę każdy superlatyw, każde porównanie, każdy najbardziej przesadny wykrzyknik reklamowy. Taka ślepa entuzjastka fanatycznie wierzy, że wszystkie obiecywane przez prospekt „cuda“ już po pierwszym zużyciu słoiku staną się faktem. Nic nie zachwieje jej gorącej wiary, nawet brak oczekiwanego efektu; raczej sobie winę przypisze, że coś nie tak zastosowała, czy przeoczyła. Jakże inaczej wygląda buzia takiej „zagranicznej entuzjastki“ przy czytaniu prospektu krajowych preparatów: ileż to uśmiezków, niedowiarstwa i tępej, upartej negacji?! Czyżby działał jeszcze tutaj magiczny urok cudzoziemczyzny lub wieczny pociąg do przesady i superlatywów, nawet

w tych bardzo trzeźwych czasach? A może, mimo całej trzeźwości współczesnego pokolenia, kobieta i dzisiaj chce być oszukiwaną? Chi lo sa? Tak jednak przeważnie wyglądają omawiane sprawy. Smutne to, ale prawdziwe.

To samo dotyczy zabiegów kosmetycznych. Nie stawiam żadnych ryczałtowych zarzutów kosmetyce zagranicznej, gdyż nie jestem, broń Boże, jakąś szowinistką, uznaję ją nawet pod wieloma względami, jako pierwszorzędną wzór, godny naśladowania na naszym gruncie. Za wzorami zagranicy nie musimy jednak iść ślepo; powinniśmy adoptować wszystko dobre, a odrzucać błagę. Każdy uczciwy zakład musi odrzucić wszystko, co jest tylko humbugiem, obliczonym na efekt doraźny, częstokroć później przynoszący szkodę urodzie klientek. Weźmy dla przykładu choćby niektóre maski kosmetyczne, zawierające wprost zabójcze składniki dla skóry. Dla wielu klientek wystarczy stempel paryski, aby bezkrytycznie ich żądała. Ileż to trzeba zadać sobie trudu, ileż się trzeba natłomaczyć, że: „tego, czy tamtego zastosować pani nie mogę, bo to będzie dla niej szkodliwe“. Pani owej stosowano to jednak zagranicą i tem twierdzeniem stara się zbijać wszelkie logiczne i słuszne rozumowania uczciwej kosmetyczki. Pani taka nie chce zrozumieć, że w zagranicznym gabinecie była jedną z wielu raz na rok zjawiających się klientek, do której stosunek, z natury rzeczy, jest całkiem inny niż do klientki stałej. Gdyby bowiem i tam miano możliwość parokrotnego jej obserwowania w ciągu miesiąca, możeby również zastosowano inne zabiegi, po stwierdzeniu, że początkowe leczenie nie daje wyników.

Nadmienić pozatem należy, że bardzo często nasza klientela utrudnia zadanie solidnie prowadzonego zakładu kosmetycznego, naiwnie żądając efektów szybkich, a natychmiastowo nieosiągalnych. Nieporozumienie to jest jedną z poważniejszych bolączek zawodu polskiej kosmetyczki.

Przejdźmy teraz do warunków, w jakich u nas rozwija i rozwijać się powinien zawód kosmetyczny.

Dawna kosmetyka domowa, niejednokrotnie oparta na przesadach i urojeniach, staje się coraz bardziej zjawiskiem szczałkowym. Łącznie z powszechnie wzmagającą się tendencją do kultury fizycznej, i kosmetyka, a

specjalnie kosmetyka polska, na co nacisk kładę gwoli uwadze naszej klienteli, zrywa z płytkim, powierzchownym stosunkiem do zakresu swych zadań, opierając się coraz mocniej na podstawach naukowych. Staje ona w ten sposób w pewnym powinowactwie do medycyny, różniąc się od niej oczywiście terenem pracy i charakterem swych zadań.

Coraz poważniej ujmując swe zadania, kosmetyka polska winna przestrzegać: 1) — solidnej fachowości swych przedstawicieli; 2) — poważnego, a zgruntu uczciwego stosunku do klienteli, wyrażającego się w stawianiu interesu klienteli zawsze na miejscu naczelnym; 3) — pamiętania o starej podstawowej zasadzie: „przedewszystkiem — nie szkodzić“.

Zawód kosmetyczny, jako taki, jest jeszcze względnie młody i znajduje się obecnie w okresie jakgdyby fermentacji. Nie wszędzie i nie wszystko jeszcze jest w nim na swoim miejscu. Aby osiągnąć konieczną w tym razie klarowność, winien on bacznie wystrzegać się pewnych odchyłeń od koniecznej normy, które jeszcze, tu i owdzie spostrzegać się w nim dają. Zaliczyć do nich należy w pierwszym rzędzie niedostateczne, bądź żadne przygotowanie zawodowe, z czym walczyć muszą zarówno poważne przedstawicielki kosmetyki, zrzeszone w ostatnich czasach w „Stowarzyszeniu Właścicielki Gabinetów Kosmetycznych w Polsce“, jak i odnośne władze i urzędy, oraz uświadomiona klientela.

Nie dość jest skończyć czteromiesięczne kursy kosmetyczne, trzeba pozatem odbyć dłuższą, a solidną praktykę. Praktyka, którą przechodzą adeptki na kursach, nawet przy największych wrodzonych zdolnościach, nie może wystarczyć do uprawiania zawodu, który wymaga: doświadczenia, rutyny, zręczności technicznej i wprawy, odpowiedniego usystematyzowania pracy aż do poszczególnych drobnych jej momentów, nie mówiąc o umiejętności doskonałego opanowania swoich nerwów, oraz dyktowanego zwykłymi względami handlowymi taktownego i uprzejmego stosunku do klienteli. Obserwacje w prowadzonym przezemnie zakładzie kosmetycznym dostarczyły mi pod tym względem obfitego materiału; ileż trudu kosztowało mnie nieraz wyuczenie, posiadającej już wprawdzie oficjalne kwalifikacje, pracownicy — choćby najprostszymi przedwstępnych czynności, jak np. odpowiednie ubranie i obmycie klientki to jest tego, co technicznie nazywamy przygotowaniem do zabiegu.

Zdarzają się, niestety, wypadki, że absolwentki kursów kosmetycznych bezpośrednio po ich ukończeniu, niewiele troszcząc się o

rezultaty swej pracy i lekkomyślnie oceniając pełnię swego przygotowania do zawodu kosmetycznego, rozpoczynają odrazu prowadzenie zakładu na własną rękę. Prowadzić to musi z natury rzeczy do popełniania szeregu błędów, składających się w całości na zwykłe partactwo kosmetyczne. Trudno nie zauważyć, że jednym z czynników takiego stanu rzeczy jest nierzadko konieczność życiowa, zmuszająca do szukania natychmiastowego zarobku.

Chciałabym tu zwrócić młodszym koleżankom uwagę, że każda z nas nie poprzestając na uzyskanem świadectwie, upoważniającem do pracy kosmetycznej, musi nie ustawać w dopełnianiu swoich wiadomości zawodowych i nie tracić z oczu kroczących wciąż naprzód postępów współczesnej kosmetyki. Będzie to jednym z ważnych czynników poważnego stosunku do zawodu i nie traktowania go jedynie jako lukratywnego źródła zarobku.

Powiedzmy i to jeszcze, że brak należytej powagi w ujmowaniu zadań kosmetyki prowadzić może na bezdroża ośmieszającej i nieuczciwej blagi. Jest to objaw tembardziej niepożądany, że młoda jeszcze względnie kosmetyka dbać musi wyjątkowo mocno o swoją reputację, zdobywając temsamem szacunek klienteli, której stosunek do kosmetyki nie zawsze stoi na właściwym poziomie. Nie bez winy bywają tu czasem i te przedstawicielki kosmetyki, które, wypuszczając z rąk inicjatywę, pozwalają klienteli narzucać sobie żądania takich czy innych zabiegów, czasem zupełnie niestosownych. Zmieniają w ten sposób poważny warsztat pracy kosmetycznej w jakiś kramik, gdzie można dostać, czego się żąda. Uwzględniając jaknajbardziej interesy klienteli i mając na względzie wyłącznie tylko jej dobro, każdy poważny zakład stosować musi, rzecz prosta, jedynie zabiegi, oparte na wskazaniach, dyktowanych przez naukowe podstawy kosmetyki. Oczywiście jest, że o wyborze decydować powinna nie klientka, lecz kosmetyczka. Stosunek odwrotny nie tylko deklasuje kosmetykę, ale odbija się przedewszystkiem ujemnie na interesach jej klienteli.

Szacunek kosmetyki względem samej siebie wymaga również należytej oceny przypadających jej zadań; mam tu na myśli ściśle rozgraniczenie terenu kosmetycznego od wypadków, podlegających bezwzględnie kompetencji medycyny; przekraczanie tej granicy nie przynosiłoby oczywiście zaszczytu kosmetyce, przestrzegać przeto należy bacznie, by wszelkie wypadki budzące wątpliwość, co do możliwości kosmetycznego ich traktowania, zwracać we właściwym kierunku —

to znaczy do lekarza. Nadmienić tu muszę, że nader często tło, na którym rozwijają się defekty cery, bywa ściśle związane z ogólnym stanem organizmu, którego uregulowanie wymaga również interwencji lekarza. Dlatego też klientela nie powinna lekceważyć zaleceń kosmetyczki, kiedy ta ostatnia uważa za konieczne zwrócić ją w tym kierunku.

Punktem honoru kosmetyki powinno być oczywiście, w myśl wymienionej wyżej maksymy („przedewszystkiem — nie szkodzić“), jaknajskrupulatniejsze wystrzeżenie się stosowania jakichkolwiek bądź metod ryzykownych, narażających klientelę bądź na przykre, często długotrwałe konsekwencje, bądź wręcz na poważnie szkodliwe dla zdrowia następstwa. W bieżącej praktyce dotyczy to zwłaszcza „uproszczonych“ sposobów barwienia brwi i rzęs, bezpośrednio sąsiadujących z tak ważnym, a wrażliwym narządem jak oko, narażeniem niejednokrotnie na zawodne losy stosowania barwników „krótkich“ co do czasu, lub rywalizujących ceną z barwnikami nieszkodliwymi, jak o tem już

wielokrotnie pisałam gdzieindziej. Innych wchodzących w tę dziedzinę karygodnych lekkomyślności trudno tu z braku miejsca wymieniać.

Wracając raz jeszcze do czynników ekonomicznych, prowadzących w pewnych wypadkach kosmetykę na manowce, muszę, zauważyć, że nie należy otwierać zakładów kosmetycznych bez odpowiednich zasobów materiałnych, koniecznych do ich umontowania na współczesnym poziomie technicznym. Bez tego muszą one z natury rzeczy prowadzić wegetację prymitywną i nie mogą czynić zadość dzisiejszym wymaganiom racjonalnej kosmetyki. Samo z siebie wynika, że taka pauperyzacja zawodu pod żadnym względem nie należy do rzeczy pożądanых.

Na tem narazie urywam nastroczające mi się uwagi co do dróg, miejmy nadzieję, coraz równiejszych i prostszych, po których kroczy w swym rozwoju polska kosmetyka.

**Magdalena Poznańska**  
Vice-Przeszka Stow. Wł. Gab.  
Kosm. w Polsce i właścicielka  
Gab. Kosm. „Madeline“  
w Warszawie

## Opaski kosmetyczne

Dziś, gdy wszystkie żyjemy pod znakiem wyjazdu na wywczasy letnie, aby zdala od zgiełku miejskiego i codziennych zajęć wypocząć nerwowo i fizycznie, chciałabym zwrócić uwagę Pań, w jaki sposób należałoby wykorzystać ów drogi i, niestety, zwykle zbyt krótki wypoczynek bez szkody a nawet z korzyścią dla naszej urody.

Słońce i powietrze były i są naturalnymi sprzymierzeńcami w pielęgnowaniu zdrowia, młodości i urody. Cennych tych darów natury używać trzeba jednak oględnie, aby zamiast poprawy w wyglądzie nie osiągnąć wprost odwrotnego skutku. W tym wypadku kosmetyka daje nam specjalne kremy, którymi namaszczamy skórę, by uchronić ją od zbyt silnego działania promieni słonecznych, wiatru i t. p., specjalne otrybki do zmywania twarzy, zmiękczające wodę w miejscowościach, gdzie jest ona zbyt twardą oraz pojedyniające tkanki skóry płyny kosmetyczne. Są to rzeczy znane, które należy jednak indywidualizować, najlepiej zasięgając w każdym pszczególnym wypadku kompetentnej rady w poważnym zakładzie kosmetycznym, — wspominał przeto o nich pobieżnie.

Zajmijmy się natomiast kwestją, czem zastąpić masaże, wzmacniające mięśnie podbródka, których z natury rzeczy w miejscowościach letniskowych, pozbawionych zakładów kosmetycznych, musimy się cza-

sowo wyrzec. Na plaży, w górach czy na wsi możemy pomóc naturze, tak zwanymi bindami czyli opaskami. Opaski te, nakładane na podbródek, zapinamy na szyi i na głowie. Noszone w ciągu 2-ech godzin dziennie, wzmacniają one doskonale mięśnie. Żeby jednak odpowiadały swemu celowi, muszą być zrobione z materiałów elastycznych i przewiewnych, nie zaś z gumy zwartej, gdyż ta, przeszkadzając normalnej transpiracji, wywołuje wprost odwrotny skutek. Nie należy również nakładać ich na dłużej, a zwłaszcza pozostawiać na noc, gdyż sprzyjałoby to mogło zanikowi mięśni.

Dla osób marszczących czoło czy to nerwowo, czy z przemęczenia, kosmetyka zaleca bindki, nasycone odżywczym preparatem, które nałożone na uprzednio wygładzone czoło i noszone w ciągu paru godzin dziennie, już mechanicznie przeciwdziałają skurczowi mięśni przy rozmowie i powoli odzwyczajają nerwowe osoby od marszczenia czoła, temsamem je stopniowo wygładzając.

Są to rzeczy niewinne, niekosztowne i niekłopotliwe, a skuteczne, o czem przekonałam się „na własnej skórze“, tem śmieiej przeto mogę je polecać.

**J. Różańska**

Właścicielka Gab. Kosm.  
„PANI“ w Warszawie

# Piegi i szpeczące plamy

Nietylko lipy kwitną w lipcu, gdyż pełnię swego rozwoju osiągają w tym miesiącu również i... piegi. Nie od rzeczy więc będzie, jeżeli poruszę obecnie temat owych wielce aktualnych „kwiatków kosmetycznych“, ich istotę, drogi rozwoju i sposoby ich zwalczania.

Powstanie piegów tłumaczy się tem, że pewien rodzaj promieni słonecznych przy zetknięciu się ze skórą — drażni ją. Skóra, broniąc się przed temi promieniami, wytwarza barwnik ochronny — pigment, który nazywamy piegami. Im działanie promieni słonecznych jest intensywniejsze, temwięcej piegów ukazuje się na skórze i tembardziej są one wyraźne. Nie wszyscy jednak mamy piegi, gdyż nie wszyscy mamy do nich skłonności. Najczęściej spotykamy piegi u osób o rudawym odcieniu włosów, już rzadziej u blondynek, a najrzadziej u brunetek.

Wyleczyć się z piegów raz na zawsze — niemożna; próbowano to zrobić arsenikiem, ale rezultaty niezawsze bywały dodatnie. W praktyce mojej na kilka tysięcy pacjentek miałam 3 czy 4 wypadki, że po przeprowadzonej kuracji piegi nie wróciły. Takie anomalje zdarzały się u pań po trzydziestym roku życia i przypuszczać należy, że przy kuracji zniszczone zostały siedliska, wytwarzające pigment. Te znikome wyjątki potwierdzają tylko regułę, że usunąć piegów raz na zawsze niemożna. Natomiast należy środkami łuszczącymi naskórek usuwać je na pewien okres czasu. Zwracam przytem uwagę, że stałe stosowanie środków łuszczących nie jest wskazane, gdyż z jednej strony — skóra przyzwyczaja się do nich i wkońcu przestają one działać na piegi, a z drugiej strony — przez ciągle łuszczenie naskórka niszczyje i twarz pokrywa się wkońcu siecią zmarszczek. Po jednorazowym więc złuszczeniu naskórka i dokładnem wyniszczeniu piegów, należy już tylko stosować środki ochronne. W ostatnich czasach chemja i w tym wypadku przyszła z pomocą medycynie, dając jej preparat obojętny, a więc nieszkodliwy dla skóry, którego zadaniem jest odbijanie od skóry właśnie tych promieni słonecznych, które wywołują piegi. Preparat ten, dodany do odpowiedniego dla danej cery kremu, absolutnie nie dopuszcza do ujawniania się piegów. Krem taki (pod puder) musi być stosowany stale, a ściślej biorąc od lutego do późnej jesieni, — ale nie jest to przecież znów zbyt uciążliwe, gdyż i tak większość pań stosuje kremy pod puder.

W walce z piegami dużą rolę odgrywają również i pewne kolory, naprzykład: czarny — ma wybitną

własność ściągania właśnie owych szkodliwych promieni słonecznych, zaś czerwony, lila lub brązowy odrzucają promienie, powodując tworzenie się piegów. Z powyższego wniosek — że panie ze skłonnościami do piegów nie powinny nigdy nosić kapeluszy czarnych, natomiast wskazane są kapelusze o większych rondkach w kolorach brązowym, lila, białym, a przede wszystkim czerwonym.

Pudry od wczesnej już wiosny winny być używane w kolorach ocre lub ocre-rose.

Znacznie rzadziej od piegów spotykamy żółtienia naskórka w formie plam, często nawet dość dużych. Zazwyczaj ukazują się one przy nieprawidłowem funkcjonowaniu wątroby, albo po porodach. Naturalnie w tych wypadkach decydujący głos ma lekarz-internista, natomiast zewnętrznie postępujemy z nimi tak samo, jak przy piegach, to jest usuwamy je zapomocą łuszczenia. Zdarzają się jednak plamy, pozornie podobne do wątrobianych, które powstały przez przepalenie naskórka przy plażowaniu, względnie przy nieumiejętnem łuszczeniu naskórka. Ten rodzaj plam przeważnie już niczem nie daje się usunąć. I dlatego radzę umiar przy plażowaniu, a wielką ostrożność przy łuszczeniu.

Jeżeli chodzi teraz o wybór środków usuwających piegi i plamy, — trudno jest wśród tak wielkiej powodzi gotowych preparatów powiedzieć coś zdecydowanie konkretnego, gdyż z jednej strony preparaty te zawierają najróżnorodniejsze składniki i bywają słabsze lub silniejsze w działaniu, a z drugiej znów — skóra ludzka bywa nietylko różna, nieomal inna u każdego, ale w dodatku może nieznosić, to jest mieć „idiosynkrazję“ do któregoś ze składników. Nie pozostaje więc nic innego, jak w każdym poszczególnym wypadku zasięgnąć fachowej porady.

Do domowych środków, usuwających piegi i zarazem wybielających cerę, należy: sok ze świeżych poziomki (o ile skóra znosi poziomki), którym kilka razy dziennie przeciera się twarz, albo sok z ogórków. Z tego też powodu bardzo są wskazane przy piegach mydła poziomkowe i ogórkowe. Można również 2—3 razy dziennie przecierać miejsca pokryte piegami zwykłą 3% wodą utlenioną — zabieg ten daje również dobre rezultaty.

**Helena Brzezińska**

Kierowniczka Dz. kosmetycznego w gabinecie lekarsko-kosmetycznym „IZIS“ w Warszawie

## GORSETY

CAŁOŚCI I STANICZKI W WIELKIM WYBORZE PO CENACH KONKURENCYJNYCH  
**ANNA MICHNIEWICZ**  
WARSZAWA, CHMIELNA 18

# PORADNIK KOSMETYCZNY

## KREMY POD PUDER

**P. Irenie D-k z Łodzi.** Krem „Haz-Elite“ będzie dla Pani najodpowiedniejszym kremem pod puder, gdyż jak zorientowaliśmy się z listu, cera Pani należy do kategorii tzw. normalnych tj. ani zbyt suchych ani tłustych. Krem ten zawiera hazelinę, która znakomicie wygładza drobne zmarszczki, lekko ściągając skórę. Pewni jesteśmy, że „Haz-Elite“ stanie się zbawiennym kremem dla cery Pani.

## PIEGI

**P. Annie Z. z Wilna.** Kwestja usuwania już „gotowych“ piegów jest znacznie bardziej skomplikowana niż zabezpieczenie się przed nimi. Usuwać piegi w domu można zapomocą znanego preparatu — maści „Blanca“, wyrabianego przez warszawskie laboratorium „Antiba“. Działanie tej maści jest zupełnie bezbolesne; nie wywołuje ona również jakichkolwiek podrażnień skóry.

**P. Leontynie K. z Białej Podlaskiej.** Nie parasolka obroni Panią przed piegami, ale krem i puder światłochronny „Antiba“. Preparaty te, wypuszczone ostat-

nio na rynek, zdobyły z racji swych zalet nieprawdopodobne powodzenie. O ile w Białej Podlaskiej Pani nie będzie mogła ich nabyć, prosimy do nas napisać.

## NIEPOTRZEBNE OWŁOSIENIE

**P. Marji K-ckiej z Torunia.** Droga Pani Marjo! prosimy nie robić tragedji z racji tych paru tysięcy włosów na nogach. Mogą być najbardziej czarne, mogą być nawet kędzierzawe, ale to jeszcze nie powód, by wściekać się i płakać w listach do nas. By zobaczyć Panią śmiało i wesoło premenującą na toruńskiej plaży, dajemy Jej lapidarną radę: wystarczy kupić „Pilocid“, no i... oczywiście go stosować według przepisu. Golić włosów nie należy, gdyż depilacyjny środek, jakim jest „Pilocid“, usunie Pani zbędne owłosienie natychmiast.

## P O T

**P. Adeli K. z Brześcia n.B.** Radzimy Pani zrobić mężowi prezent z proszku „Tercet“, ewent. z buteleczki „Desodorolu“. Te dwa znakomite preparaty przeciwpotowe niewątpliwie mu pomogą.

Nieprowadzących gospodarstwa z racji wyją dów rodzin na letniska — zapraszamy

**na tanie i wyborne śniadania, podwieczorki, kolacje**

Na żądanie wysyłamy do biur, mieszkań i t. p. Zamówienia przyjmujemy telefonicznie — Tel. 647-55

**Cukiernia  
M. A. WĘGIERKIEWICZ  
Boduena 5**

Wytworzona przez Polni  
dbając o zdrowie staraj się codziennie

DO INTYMNEJ  
HYGIENY  
OSOBISTEJ

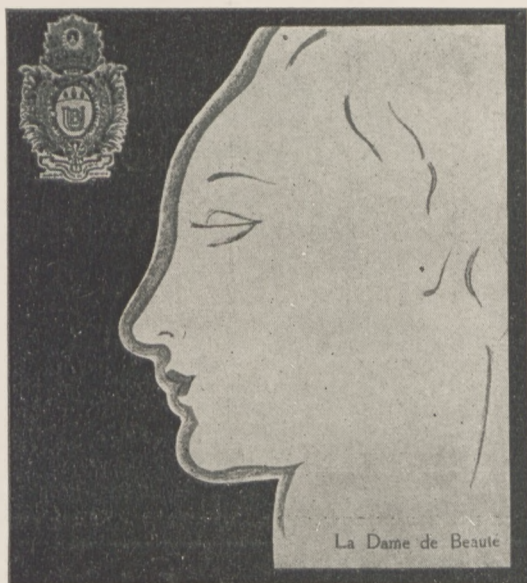
**FEMAKTIN**  
ORYGINALNY  
POLSKI  
PREPARAT

LABORAT.  
FARMACEUTYCZ.

**POLSKI  
CHLOR**  
WARSZAWA  
ORLA 13  
TEL. 11-25-22

KTÓRY: ODKAŻA, OD-  
WANA, UODPARNIA  
NIE PLAMI, NIE BARWI,  
NIE PSYJE BIELIZNY.  
Zadać w aptekach  
i drogeriach.





# Cédib

Université de Beauté  
Paris — 39 Av. des Champs Elysées

poleca uwadze Pań swą ostatnią  
sezonową nowość

## Crème Brugnon,

który na plażach Rivieri jest obec-  
nie największym krzykiem mody  
kosmetycznej.

Wszystkie preparaty kosmetycz-  
ne Cédib ukazały się już na na-  
szym rynku w tańszych opako-  
waniach!

Ołówek do warg „Triomphe” —  
rewelacja dla Pań!

Żądać próbek i instrukcyj użycia  
u swych stałych dostawców



### EUGENJUSZ BODO

skarży się publicznie, mówiąc:  
„Chciałbym mieć zpowrotem tę forszę,  
którą zostawiłem u Sznajdra...”

Prawdziwie dystygowa-  
ni panowie ubierają się  
w pracowni krawieckiej

## M. SZNAJDER

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 111  
TEL. 248-31

Wielki wybór najmod-  
niejszych materiałów

CENY PRZYSTOSOWANE DO OBECNYCH  
KRYZYSOWYCH CZASÓW



Aleksander Swain z opery berlińskiej w fenomenalnej swej kreacji — „Tańcu namiętności”

## Z I-szego międzynarodowego konkursu tańca artystycznego w Warszawie



Fot. z prawej strony:

Fot. Z. Szajer

**Raden Mas Jodjana**, świetny tancerz jawański w pełnym egzotycznej ekspresji tańcu ludowym „Tani”

### PRENUMERATA:

w Warszawie i na prowincji wraz ze wszystkimi dodatkami:  
rocznie — Zł. 16; półrocznie — Zł. 8,50; kwartalnie — Zł. 5

Rękopisów niezastreżonych redakcja nie zwraca. Artykuły nadsyłane powinny być pisane na maszynie, ewent. czytelnym piśmem. Za treść ogłoszeń nie przyjmujemy żadnej odpowiedzialności. Część nakładu niniejszego numeru tłoczono na papierze kredowym.

**Redaktor i wydawca: HENRYK TAŁŁAN-TAŁANDZIEWICZ**

Redakcja i administracja: **Warszawa—Kredytowa 16 m. 14—Tel. 764-17**



Już w dniach najbliższych wyjdzie z druku II-gie wydanie rewelacyjnego almanachu kosmetycznego p. t.

**„...a będziesz piękna i młoda!”**

Praca zbiorowa znanych lekarzy-specjalistów i wybitnych kosmetyczek — pod redakcją Henryka Tałana

Biblioteka Przeglądu Kobięcego — Warszawa — Kredytowa 16 m. 14 — Tel. 764-17



WARSZAWSKA WYTWÓRNIĄ TRYKOTAŻY  
**TRICOT**  
WARSZAWA • MARSZAŃKOWSKA 129

